ŚWIAT DZIEWCZĄT

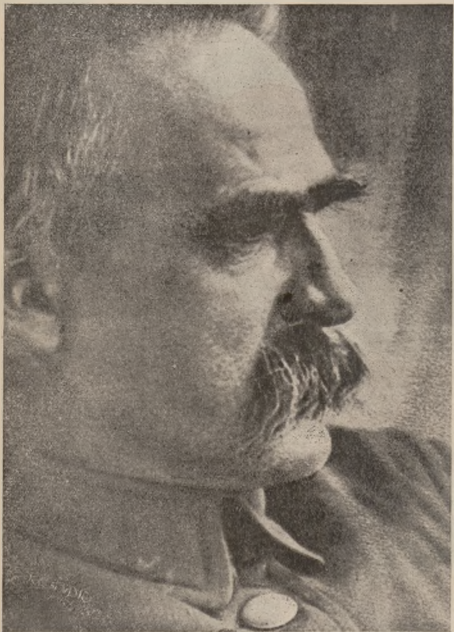
N°9



Rok I. Warszawa, dnia 20. marca 1933 r. Nr 9.

Świat Dziewcząt

WYCHODZI 1-go 10-go I 20-go KAŻDEGO MIESIĄCA



NOC 19 MARCA

W polskim domu, w kominie polskie polana dudnią —
polski zegar-gaduła odmierza polski czas.
W czarną noc Pan Bóg cisnął gwiazdy, jak
w wielką studnię
— w Polsce złoto od gwiazd.

Polski wiatr gra na drzewach — chochołom we
łby dmucha —
w chochołach drzemią róże na wieńce bohaterskie.
Szumi wiatr. Dziwnie nocą polskiego wiatru
słuchać,
wiatr dudni jak krok żołnierski.

Żołnierze stoją w mroku. Pełnią milczącą wartę.
Wiatr przypadł przerażony do bram strzeżonych
miast.
On, — Orzeł czy Wódz? — czuwa. I oczy ma
otwarte.
w Polsce złoto od gwiazd.

Wiatr czyniący odwieczną rewolucję przyrody, rokrocznie przynosi na skrzydłach dzień Twoich Imienin, Komendancie. Nie przypadną one nigdy w dosytnej porze lata, ani w śnieżnej nieruchomości zimy.

Jak życie Twoje oddane buntom, w ostrych światłach wolności, rozrywających chmurę beznadziei dziejowej, są te Twoje marcowe Imieniny.

Twoim udziałem stała się nawałnica przedwiośnia — naszym — spokojna wiosna niepodległości Narodu.

Dlatego strach przed biedą, przed zawieruchą, przed wojną ucicha na myśl, że Ty — czuwasz.

Dlatego, jeśli zechcą nas napaść, wierzymy, że nas zdołasz jeszcze i jeszcze i zawsze — obronić.

Chowałeś się w wichrze i burzy, aby nam ten upragniony po wojnie, ten konieczny, jak powietrze, jak chleb i jak woda, spokój zapewnić.

Niczem innem, jak tylko tą wiarą możemy Ci się dziś za walkę i trudy — wypłacić.

za progiem szkoły



SKRZYDŁA

Dziwna to była klasa! Niby nic, niby taka jak wszystkie, a jednak gotowało się w niej coś i płonęło ukrytym ogniem, a jednak rozmowy na pauzach omijały z przedziwną intuicja wszelkie tematy pospolite i przyziemne, a jednak nie czytano tam niemądrych książek, a jednak...

— To jest moja najzdolniejsza klasa, ta o-ta A.— mawiała zazwyczaj przełożona — ale taka jakaś entuzjastyczna, taka zapalna, że nie mogę do nich przemawiać zwykłemi kategorjami. Każde ciężkie gatunkowo i ważne słowo, chwytają w lot, rozpalają do białości i nigdy niewiadomo dokąd je takie słowo zaprowadzi. Może za daleko, może za wysoko!

Tak biadała zazwyczaj nad tą dziwną klasa przełożona, klasa zaś, nieświadoma jej kłopotów i zmartwień wiodła żywot beztroski i radosny.







Codzienne sprawy szkolne, trudne wypracowanie, drobne zajście i nieporozumienie, ginęły nieznaczne i zupełnie nieważne w powodzi zdarzeń niezwykłych, które one jedynie umiały sobie stwarzać z byle faktu, z każdej uroczystości szkolnej, z pięknej, świeżo przeczytanej książki, z niczego... Wyżywały się w chwilach żarliwych dyskusyj, na temat przebudowy świata i zbawienia ludzkości, zawiązywały przyjaźnie na śmierć i życie, prześcigały się w poświęceniach i ofiarach, szalały, na temat słowa *honor* i rozpaczały w cichości, że nie są chłopcami.

— Bo pomyślcie — mówiła łatwa do pesymistycznych poglądów Ela, — co właściwie my, kobiety możemy zdziałać. Skończymy gimnazjum, dobrze, jeżeli jesteśmy zdolne idziemy na uniwersytet, albo na politechnikę, kończymy go mniej lub więcej chlubnie, jeżeli nie jesteśmy zdolne też idziemy na uniwersytet albo politechnikę i nie kończymy. W jednym i w drugim wypadku do niczego ważnego nie dochodzimy, w najlepszym, ale to naj... najlepszym razie do własnego dobrobytu, ale społeczeństwu, Ojczyźnie, ludzkości nic z nas nie przyjdzie, oprócz przysłowiowego „wychowywania synów" (koniecznie, broń Boże córek!) na dzielnych ludzi. A my same co, nie mamy nawet prawa być takimi „dzielnymi ludźmi".

Ela umilkła zasapana i naburmuszona, a krzyk, jaki się podniósł po tej przemowie, jasno wykazał, że poruszyła sprawę aktualną.

— Cicho, ależ cicho, — zabrała wreszcie głos Irka, bożyszcze klasy, alfa i omega, przy roztrząsaniu spraw zasadniczych uosobienie rozsądku i energji, — Ela jest nieco jednostronna i niesprawiedliwa. Nie można mówić, że niewolno nam być dzielnymi ludźmi, że nic w życiu nie zdziałamy, że nie możemy być pożyteczne społeczeństwu i t. d.

— Irka zaraz powie — Curie-Skłodowska — i będzie uważała, że to jest argument, a Curie-

Skłodowska, jest tylko wyjątkiem — zawołała czarnowłosa Hela. — a my chcemy wszystkie, wszystkie być pożyteczne, ważne i dzielne.

— Nie, nie powiem Curie Skłodowska, — spokojnie zaoponowała Irka, — ale przypomnę wam te szeregi działaczek społecznych, te masy kobiet walczących o wolność z bronią w ręku, te szeregi sióstr miłosierdzia.

Czy czytałyście np. powieść Zawiszanki: *Poprzez fronty*, a jeżeli tak, czy możecie powiedzieć, że kobiety na nic się nie przydały? Czyż nie należały do P. O. W.? Czy nie były w legjonach? Czy nie walczyły narówni z mężczyznami pod dowództwem „Dziadka"?

— No tak, to prawda, — odpowiedziała po chwili skupionego milczenia „opozycja". — Ale teraz, ale dziś, co trzeba robić, aby pracować dla Ojczyzny? Nie, nie mów, że każda praca jest właśnie pracą dla Niej. My chcemy no, jakby to powiedzieć, robić *duże* rzeczy, żeby to było coś z poświęcenia i coś z bohaterstwa, i żeby jednocześnie było realne, rozsądne, nie żadne tam faramuszki i deklamacje.

— Ja dobrze rozumiem, o co wam chodzi, bo sama właśnie tego szukam. Zdaje mi się przytem, że znalazłam, ale — boję się wam powiedzieć.

— Mów, mów, napewno będzie świetne — wrzasnęła cała gromada, szalejąc z zaciekawienia.

— No, więc, — zaczęła wolno Irka — myślę o lotnictwie. Jest bardzo mało kobiet pilotek, a to jest jednak naprawdę cudowne. *A przytem — to przecież prawdziwa służba dla Ojczyzny*, taka niebezpieczna, z narażaniem życia.

— Hurra, hurra Irka — wrzasnęło jednomyślnie całe zebranie, a Ela, która łatwo przerzucała się z nastroju absolutnego zwątpienia do entuzjazmu zawołała:

— Całą klasą, tak jak jesteśmy, wszystkie zapiszmy się na pilotki, a potem utworzymy jedną eskadrę.

— Tak, całą klasą!

Decyzja zapadła.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Klasa 6-ta A przestała zajmować się literaturą. Klasa 6-ta A zarzuciła ślizgawkę i kino. I pracę społeczną. Wycofała się z pracy w Bratniaku. Klasa 6-ta A żyje tylko literaturą lotniczą, pracuje wytrwale nad matematyką, wpisała się do Loppu... i chodzi z zadartemi noskami po ulicy, wypatrując samolotów.

— Zupełnie nie mam pojęcia, co tym szalonym dziewczynom znowu strzeliło do głowy — biadała zatroskana przełożona. — znowu nowy jakiś pomysł, nowa pasja. Wczoraj znalazłam w pulpicie Irki *Słownik lotniczy Stadtmüllera, co one zamyślają?*



Gdyby przełożona zajrzała do pulpitów innych uczennic z 6-tej A znalazłaby stosy lotniczych powieści Meissnera, szczególniej *Licznik z czerwoną strzałką* był reprezentowany przez dużą ilość egzemplarzy, poza tem *Szalony Lotnik*, *Czyżewskiego* i dużo książek technicznych, które jako żywo nigdy dotąd nie znajdowały się w dziewczęcych pulpitach. Ale przełożona nie zajrzała i dalsze prace nad... projektami odbywały się w tajemnicy i cichości, aż do chwili, kiedy Ela wpadła pewnego dnia z wieścią, że do pilotażu nie trzeba matury, przynajmniej niekoniecznie. Ona, Ela, rzuca szkołę i zapisuje się na kursy pilotażu, a jednocześnie na kursy techniczne*). Najgorsze to to, że pilotaż jest tak drogi. Teorja i praktyka, to znaczy latanie kosztuje ok. 2 tys. zł. za pół roku. No, ale babcia obiecała dać te pieniądze i wogóle na wszystko się zgadza, co Ela chce.

— Szczęśliwa! — westchnęła Hela — moi rodzice nigdy w życiu nie pozwoliliby mi wystąpić z 6-tej klasy, a o moim lotnictwie nic jeszcze nie wiedzą, ale napewno mi nie pozwolą.

— Źle robisz, że trzymasz całą sprawę w tajemnicy — rzekła Irka, — i tak bez ich pozwolenie nie możesz wstąpić do lotnictwa, bo Aeroklub Akademicki, jedyny, który prowadzi pilotaż dla dziewcząt, bez pozwolenia rodziców nie przyj-[illegible]

— A gdzie się mieści ten Aeroklub?

— Na lotnisku, na Topolowej.

Pozatem istnieje jeszcze kurs szybowcowy dla dziewcząt przy Akademickim Aeroklubie w Poznaniu oraz Aeroklub Polski ogólny, który się mieści na ul. Krak. Przedmieście 11, też ma zorganizowane kursy, ale nie specjalnie żeńskie. Kosztuje też 2.500.

— O jej, aż tyle!

— Razem z lataniem, to znaczy z kursem szybowcowym. Odbywa się on w Polichnie, w woj. Kieleckiem, dopłaca się tylko 3 zł. dziennie na utrzymanie.

— Jakaś ty mądra Irko, skąd ty wiesz to wszystko — zapytała zdziwiona Ela. — Takie masz dokładne wiadomości!

— Mam kuzyna lotnika, który mi to wszystko opowiedział. Ale wiecie, wcale nie zachwyca się naszemi projektami Mówi, że jeżeli która ma dużo pieniędzy i zamiłowanie do sportu, to może kurs pilotażu skończyć, tembardziej, że Aeroklub organizuje teraz obok kursów szybowcowych i motorowe, także w ramach 2 tys., ale jako zawód nie można tego traktować.

— Dlaczego?

— Bo, jak dotąd nie ma kobiet pilotek. Przytem rzadko która niewiasta przejdzie przez uciążliwe badania psychotechniczne, z wytrzymałością na ciśnienie atmosfery i tem podobnemi historjami.

Posmutniały oblicza dziewczynek. Tak, to nie jest takie łatwe!

— A może dać spokój — zagadnęła tchórzliwa Ela.

— Ja nie zostawię tego, — zawołała nagle po chwili namysłu Irka.—Zdam maturę, skończę wydział mechaniczny na Politechnice i... będę lotniczką. Cóż to znaczy, że nie ma pilotek. Jeżeli żadna nigdy nie zacznie, to nigdy ich nie będzie. Czy nie jest to wstyd, że prócz Sikorzanki nie mamy żadnego kobiecego nazwiska w lotnictwie. Angielki, Amerykanki, Francuski, wyczyniają dziwne rzeczy na swoich maszynach. Wsławiają swoją Ojczyznę, a my co?

— Tak, tak — przytakiwały dziewczynki, ale jakoś bez zapału, jakoś niepewnie. Słomiany ogień przygasł, piętrzące się trudności zraziły. Irka ze smutkiem spojrzała na stojącą w milczeniu gromadkę. Już wiedziała, że nie może na nich liczyć w swoich szerokich, ale jakże trudnych do wykonania projektach. Postanowiła jednak nie cofnąć się. Była zdrową, wysportowaną dziewczyną, miała duże zdolności matematyczne i żelazne nerwy. Czuła, że dopnie swego. Czy tak się stanie — czas pokaże. *Zofja Miszewska.*

———————

*) Patrz Nr. 7 „Świata Dziewcząt".

GASTON CH. RICHARD



ŻAR SKRZYDEŁ

TŁOM. STEFANJA HEYMANOWA

(Dalszy ciąg).

— To dziwne! — odezwał się wreszcie inżynier. — To pani, bezwątpienia, a jednak niezupełnie pani... Pani sposób bycia, pani spojrzenie jest takie same, a jednak... nabrało jakiejś siły, spokojnej pewności siebie... Co takiego zaszło, moja mała przyjaciółko?

Lekki rumieniec pokrył twarz Janki.

— To prawda, proszę pana — powiedziała z nagłem zażenowaniem, pełnem wdzięku... — Sama nie wiem, jaka zmiana zaszła we mnie od dwuch dni... Czuję się silniejsza, bardziej zdecydowana, bardziej... męska, ażeby określić wszystko jednem słowem. Może sprawiła to chęć dokonania czegoś, nadzieja, że pana nie zawiodę.

Durand - Gardel pokiwał głową.

— Zapewne jest i to — rzekł. — Ale jest też coś lepszego. Pani posiada zmysł czynu i ten zmysł, stosownie do okoliczności, może stać się narzędziem szatana lub archanioła. Pani nosi go w sobie, utajony, jak złoto w łonie ziemi. Odkryła go pani w ową noc pożaru, cierpienia i bohaterstwa, która była dla pani samej nocą objawienia. Pani posiada rozmach, który każe pani czynić rzeczy wielkie — wiarę w siebie i energję, zalety, które nie są jedyne przywilejem mężczyzn, czego jest pani żywym dowodem.

Mówiąc, jednocześnie nacisnął dzwonek.

Natychmiast zjawił się lokaj.

— Proszę uprzedzić panią i panienkę, że panna du Colombel jest tutaj i że czekamy na nie. Proszę również zawiadomić mego syna.

Służący zniknął.

— Prawda, gdzie są pani bagaże? — spytał nagle Durand - Gardel.

— Zostawiłam je w przechowalni na dworcu Quai d'Orsay — odrzekła Janka.

W tej samej chwili, drzwi się otworzyły i ukazała się w nich pani Durand - Gardel; za nią szła córka.

Wysoka, szczupła, z twarzą okoloną włosami koloru popielatego, o odcieniu srebrzystym, Helena Durand - Gardel, wraz ze swą córką Magdaleną, również bardzo jasną blondynką, tworzyły parę pełną nieprzepartego kobiecego wdzięku.

— Moje drogie — rzekł Klemens Durand - Gardel — oto panna Janina Bel du Colombel. Wiecie obie, co jej wszyscy zawdzięczamy... Nie mam potrzeby mówić wam więcej. Przyjmijcie ją tak, jak to potraficie obie... ty, Helenko i ty, Madelon.

Helena Durand - Gardel zbliżyła się do Janki z wyciągniętemi rękami.

— Moje drogie dziecko, pani jest tu jak u siebie i jestem szczęśliwa, że mogę panią przyjąć pod mój dach tak, jak drugą córkę. Witamy panią więc i... niech pani pozwoli się uściskać!

— Oh, proszę pani! — zawołała Janka z radością.

Oddała całusy pani Helenie i z uśmiechem uścisnęła ręce trochę nieśmiałej Madelon. W tej samej chwili, do gabinetu wszedł Piotr Durand-Gardel i skłonił się przed Janką.

Na chwilę zapanowała milczenie.

— Teraz, kiedy lody są przełamane — odezwał się Durand - Gardel — niech pani usiądzie, moje dziecko, i posłucha, co jej powiem... Rozumie się, że zostawimy pani kilka dni na zadomowienie się u nas. Jeszcze dzisiaj, moja żona i córka pójdą z panią do Strohna, krawca specjalisty od ubiorów sportowych, gdzie się pani wyekwipuje od stóp do głów...

Za jakieś cztery, pięć dni, będzie pani co rano pracowała ze mną. Kiedy już ekwipunek pani będzie gotowy, rozpocznie pani pracę w

fabryce i na lotnisku; odbywać to się będzie po południu, pod nadzorem mego syna, obecnego tutaj, albo Fernanda Servieu du Mas d'Antonis, moich najlepszych pilotów. Dla mnie będzie pani tłumaczyła dokumenty i sprawozdania oraz prowadziła korespondencję... Ale, zaznaczam, ze nie uważam pani za *urzędniczkę*, lecz za *współpracownicę*. Teraz, kiedy najważniejsze rzeczy zostały już omówione, pokażemy pani jej apartamenty — skoro ma pani dzielić nasze życie do czasu, gdy będzie pani mogła zainstalować się gdzieindziej, razem z babunią, gdyż nie chciałbym jej od pani odrywać.

Janka, oszołomiona, słuchała, nie rozumiejąc.

— Dzielić życie państwa?.. Moje apartamenty?.. — wyjąkała wreszcie.

— Ależ tak — odrzekła wesoło Helena Durand - Gardel. — Pragnąc, ażeby pani była naszym gościem, musieliśmy rozwiązać pewne drobne trudności... Ale wszystko to opowiemy pani później... Będziemy miały dużo czasu na rozmowę i zwierzenia... Idziemy!..

Z łagodną stanowczością, ujęła rękę Janki i pociągnęła ją za sobą. Madelon i Piotr szli za niemi, a ojciec zamykał pochód.

W ten sposób weszli na drugie piętro pałacyku.

— Oto pani apartament — odezwała się Magdalena, z uśmiechem, otwierając jakieś drzwi.

Janka weszła za nią. Mały przedpokoik prowadził do ślicznego saloniku, w stylu Ludwika XVI, oraz drugiego pokoju, umeblowanego zdecydowanie nowocześnie. Z pokojem tym łączyła się łazienka i mała garderoba.

— Mam nadzieję, że pani będzie się tu czuła dobrze — rzekła Helena Durand - Gardel — i że pani zechce czasem nas u siebie przyjąć, w ciągu swego pobytu tutaj...

Janka, stała jak wryta, pośrodku saloniku... Te antyki, te perskie dywany, te sztychy, przedstawiające bitwy morskie, ten śliczny zegar...

— Ażeby pani nie czuła się zbyt obco u nas — rzekł Durand - Gardel jowialnie — starałem się dobrać takie umeblowanie, do jakiego pani przywykła w Nantes. Trzeba było urządzić to wszystko w dawnym apartamencie mego syna, który po rycersku ustąpił go pani... To może wytłumaczy jej trochę opóźnienie w sprowadzeniu pani do Paryża, gdyż trzeba było poszukać mieszkania dla Piotra.

— Ach! tego za wiele, za wiele! — szeptała młoda dziewczyna. — Jak mogę przyjąć tyle dobroci, uwagi, delikatności... Jestem tylko...

— Ta, ta, ta — przerwał Durand - Gardel. — Nie zamieniajmy ról, proszę pani. Gdyby nie pani, bylibyśmy zrujnowani. To co robimy teraz, po wielu „gdyby" i „ale", namysłach i układach, nie może się nawet równać z czynem pani. Jeżeli nam Bóg pozwoli, a los da nam możność działania, poprawimy się jeszcze, niech pani polega w tem na mnie, moje drogie dziecko! Pani zasługuje na to, ażeby się nią zająć, na to zgadzamy się tu wszyscy...

— Teraz zostawiamy panią samą — rzekła Helena, ze swym słodkim uśmiechem — ażeby pani mogła rozejrzeć się w swem mieszkaniu... Nie mówię, w swej klatce. Będzie pani, oczywiście, miała zupełną swobodę ruchów.. Madelon przyjdzie zaraz po panią, ażeby zaprowadzić ją do jadalni. W swej gotowalni znajdzie pani wszystko, co może być jej potrzebne.

— Niech mi pani da swój kwit od bagażu — zaproponował Durand - Gardel. — Zaraz poślę po niego.

Janka, machinalnie, sięgnęła do torebki, wyjęła kwit i wręczyła konstruktorowi.

Po chwili już była sama...

Zdawało jej się, że śni cudowny sen i obawiała się obudzić zawcześnie...

Ale nie. To nie był sen.

Ta niska bibljoteczka, pełna pięknie oprawionych książek, ten śliczny stół, ta wspaniała kanapa, prześliczna sekretarka, wazy chińskie i japońskie, piękny kryształowy wazon, z którego wychylały się białe róże i goździki, — dywany, fotele, — wszystko to była najprawdziwsza prawda.

Przeszła do „swego" pokoju. .

Był biały i różowy, wybity srebrzystym jedwabiem i wyłożony boazerją, lamowaną kolorem mocno różowym. Ten sam różowy kolor odnajdywało się na gzymsie niziutkiego łoża, modnej szafy szerokiej i niskiej, lustra, oraz w obramowaniu puszystego dywanu i w draperji firanek.

Na szafie, stał piękny wazon z kopenhaskiej porcelany, z pękiem anemonów.

W łazience znajdował się cały kryształowy garnitur i komplet szczotek, oprawnych w kość słoniową z monogramem Janki. Wszystko było nowiutkie, nienaruszone...

Janka obmyła sobie twarz, trochę rozpaloną. Potem usiadła w saloniku i zamyśliła się.

Jakaś dziwna obawa ścisnęła jej serce, choć nie wiedziała czemu ją przypisać.

Nagle, drgnęła i podniosła się.

Stukano do drzwi.

(d. c. n.)

BRAT

Brat bywa zawsze nieznośny. Od samego początku, od maleńkości.

Z wyrafinowanem okrucieństwem poddawał wymyślnym torturom najukochańsze lalki sióstr. Twierdził, że działa w imię nauki i bronił prawa wiwisekcji. Z precyzyjną dokładnością doświadczonego chirurga rozpłatywał kadłuby i jeszcze się oburzał głośno, że zamiast skomplikowanych tajników organicznych, znalazł wewnątrz jedynie trociny. Do najciekawszych, najbardziej emocjonujących zabaw: w wojnę, Robinzoa Cruzoe i walki czerwonoskórych — dopuszczał siostry jedynie w drodze wyjątkowej łaski i za łapówkę (nieraz przez cały tydzień wypadało odstępować z żalem podwieczorkowe ciasteczka i maślane bułeczki, za gorzki zaszczyt uczestnictwa w niebezpiecznych męskich zabawach, zostawiających na skórze długotrwałe, tłuczone i drapane wspomnienia).

Niełatwo było pozyskać cenny braterski udział w zabawach wykwintnych i cichych, jak np.: małżeństwo, gospodarstwo, goście...

— Chłopcy nie umieją się grzecznie bawić — to rzecz wielokrotnie stwierdzona. W najuroczystszej chwili porywają ręcznik (woal panny młodej) i uciekają z nim do ogrodu wydając wojownicze okrzyki Komanczów. Przewracają troskliwie obmyślane i pieczołowicie przygotowane zastawy, oczekujące na gości, tem cenniejszych, że nieistniejących. Brutalni w swem łakomstwie pożerają jednym kęsem i czekoladkę w kształcie indyka i różową marmeladkę, co na półmisku z fryzowanej bibułki udawała tort. Wypijają duszkiem malinowy sok, wlany do minjaturowej imitacji autentycznej butelki Curaçao i jeszcze się śmieją i wydziwiają, że wszystkie dziewczęta to beksy i gęsi, i że nie warto się z takiemi zadawać.

Ileż przelanych łez!.. Ile żab, wpuszczonych zdradliwie do siostrzanej pościeli!.. Ile atramentowych plam, uczynionych rozmyślnie na świeżo upranej, jasnej sukience!.. Ile perfidnie podsuflerowanych w chwili duchowej rozterki, a kompromitujących przed groźnym aeropagiem dorosłych, odpowiedzi obciąża braterskie sumienie. Na palcach rąk i nóg całej rodziny nie zliczyłby; na wołowej skórze — nie spisać.

Z czasem rachunek krzywd staje się już nazbyt długi. Nieśmiały, dziecięcy podziw dla junactwa i siły przeradza się stopniowo w trwożliwą niechęć. Niekiedy w zdecydowane nielubienie.

My i wy. Dwa światy: świat dziewcząt i świat chłopców. Obcy, obce i wrogie, nawet w szkole koedukacyjnej. Odmienne zasięgi zainteresowań, odmienne upodobania.

— Nie wtrącajcie się do tego, to nie babska rzecz!

— Idźcie! Idźcie sobie stąd! Zniszczycie wszystko, pobrudzicie... To nie dla chłopców.

Antypatyczni stają się nawet koledzy brata, mówiący łamiącym się falcetobasem, i mający zawsze brudne łapska i niezmiennie obgryzione paznogcie — w tym wieku, kiedy ich rówieśnice są już zgrabnemi, zalotnemi kobieciątkami, bardzo dbałemi o wygląd i umiejącemi za pomocą umieszczonego z boku kieszonkowych nożyczek, pilnika, zrobić sobie nieskazitelny manikiur.

Tylko, że... Tylko, że z chwilą, kiedy się już stało kobieciątkiem, w błyskawicznem tempie jest się już całą kobietą. Kobietą z wszystkiemi kobiecemi troskami. Troska o wygląd. Troska o wrażenie wywierane na ludziach nowopoznanych. Troska o powodzenie na balu.

Bal, doroczny bal na pensji. A potem inne bale w zaprzyjaźnionych szkołach męskich i żeńskich. W gimnazjum braci — naturalnie.

— Tancerze? Ci sztubacy o wielkich czerwonych łapskach z obgryzionemi paznogciami?

— Ach nie! Nie. Będą i inni. Z innych szkół, z wyższych klas. Podobno ma być kilku autentycznych akademików z prawa i z medycyny. Starsi bracia starszych koleżanek. Nawet jeden prawdziwy ułan.

— Jeden ułan!.. Jeden na tyle młodych, spragnionych tańca nóg. Chybaby się do niego ustawiły w ogonku, a i tak mógłby nie nadążyć.

Szkolne bale nie trwają do rana. Trzeba się jednak przeprosić, trzeba się zacząć rozglądać w gronie wzgardzonych sztubaków.

Po bliższem i życzliwem przyjrzeniu się, okazuje się, że są między nimi chłopcy wcale, wcale. Ten ma miłe, poczciwe spojrzenie. Tamten potrafi śmiać się od ucha do ucha, tak szczerze i zaraźliwie, że nie sposób mu nie wtórować.

Ale to, oczywiście, bracia koleżanek. Bo własni!.. Pożal się Boże.

Na wszystko, z przyzwyczajenia i zasady, odpowiadają:

— Nie. — Kategorycznie i bezapelacyjnie.

— Przedstawisz mi swoich kolegów, na waszym szkolnym balu?

— Ani mi się śni.

— Odprowadzisz mnie do domu?

— Jeszcze czego?

— No, ale pójść na ten wieczorek, to chyba musisz?

— Wcale nie, ja nic nie muszę.

I to się nazywa brat?! Wilk nie brat.

Zdarzają się przecie niespodzianki. Tembardziej urocze, że naprawdę niespodziane. Jakaś przykra, okrutna chwila nagłej samotności, dokuczliwej, upokarzającej samotności w wielkim, rozbawionym tłumie. Tkliwe przyjaciółeczki, wieloletnie powiernice wszystkich tajemnic — odbiegły. Każda zazdrośnie uczepiona jakiegoś męskiego ramienia. W dobrze znanych, jasnych oczach czai się coś niepokojąco kociego, coś jakby ukryte pazury.

— Nie zbliżaj się, nie zaczepiaj! Bo podrapię do krwi.

Jakie to bolesne, być właśnie tą upośledzoną, tą, dla której nie starczyło tancerza... nawet najmłodszego, najbrzydszego.

Tak, ale fortuna kołem się toczy, gdy myślimy, że wszystko przepadło, odnajdujemy skarb bezcenny. — Co się stało? Janek, nieznośny braciszek, złośliwy popsuj dziecięcych radości, na środku sali opuszcza śliczną, rozpromienioną Jadzię i kieruje się ku opuszczonej siostrze.

— Coś ty taka osowiała? Skrzywdził cię kto, Zośka? Co? No, chodź, zatańczymy.

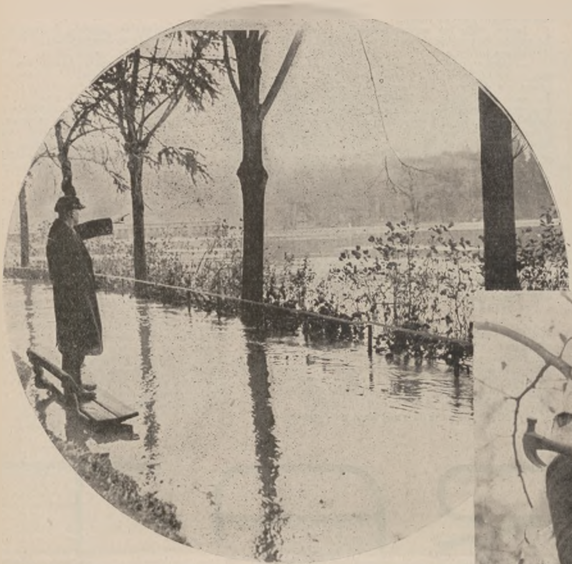
Brat! Brat przyjaciel, cudem odnaleziony, odkryty przypadkiem.

Ach, naturalnie, jeszcze nieraz będzie po dawnemu. Będą i przekomarzania się i dokuczania i psoty. Będzie mowa i o „babskiej histerji" i „gęsiej naiwności". I kategoryczne „nie" przeciwstawione wszelkim prośbom. I wszelkie „ani mi się śni" i „ja nic nie muszę".

Ale to wszystko już nie zdoła zmienić, zbić radosnej pewności, że jest w pobliżu mocne, braterskie ramię, na którem można się będzie wesprzeć w każdej ciężkiej chwili.

Jadwiga Kiernarska.

DROGA DO WIOSNY



Nadchodzi chwila, kiedy zaczyna się wyczekiwać na pierwszy wiosną pachnący podmuch wiatru, kiedy do sprawy otwierania okien w klasie, dotąd traktowaną, jako obowiązkowa konieczność, zaczniemy się odnosić z sentymentem, i kiedy sprawa przyniesienia do klasy pierwszego pęczka przebiśniegów czy przylaszczek, kupionych na ulicy, lub pierwszych żółtych podbiałów czy złoci, własnoręcznie zerwanych w przydrożnym rowie lub na zapuszczonym trawniku w parku, nagle przesłoni sobą sprawy klasówek, odpowiedzi, poprawek i t. p.

Kto umie z wykładów szkolnych wyłowić praktyczne życiowe wiadomości, odkrywa wiosnę jeszcze wcześniej i to z pewnym posmakiem czarodziejstwa. Może z całą pewnością twierdzić np., że będzie wczesna wiosna mimo tego, że ślizgawka trwa w najlepsze.

Jest bowiem roślina, z której średniowieczni czarnoksiężnicy robili swoje pałeczki, której dziś jeszcze różdżkarze używają jako różdżki do wykrywania podziemnych źródeł i złóż. Jest to leszczyna. Kwitnie najwcześniej ze wszystkich drzew i krzewów. Jeśli wiosna ma być wczesna potrafi kwitnąć nawet w połowie lutego i sypie żółto-zielony pyłek swoich długich, wiszących baziek, na śnieg.

W tym roku, gdy to piszę (5 marca) ani myśli jeszcze kwitnąć, wobec czego, zwykłym obyczajem starszego pokolenia, twierdzę, że za moich młodych lat było lepiej, bo nawet leszczyna kwitła wcześniej: sama widziałam to podczas harcerskiej wycieczki w lutym.

Wiem, że są drużyny, w których z jednego pokolenia harcerskiego na drugie przechodzi zwyczaj wędrowania na ulicę Parkową w Warszawie (za Belwederem), gdzie zaraz za pierwszym płotem na prawo rośnie wysoka leszczyna (druga jest w parku Ujazdowskim, ale ta należy do gatunku, który nie rośnie u nas dziko i kwitnie później).

Należę do pokolenia, które zapoczątkowało tradycję tych leszczynowych biuletynów. Chodziłyśmy tam pokolei wszystkie, a najczęściej Zosia, której droga do szkoły (z Bagateli na Nowy-Świat) zawsze wypadała przez Parkową. Od pierwszego słonecznego dnia w lutym najczęstszem powitalnem słowem w drużynie było: „kwitnie"?

Ta, która pierwsza powiedziała to słowo bez znaku zapytania, tonem stwierdzenia faktu, była bohaterką dnia. Jeżeli jeszcze przyniosła gałązkę z baźkami, oglądała to trofeum cała szkoła. Od tego dnia zaczynało całą szkołę ogarniać szaleństwo wiosny.

Licytowano się w przynoszeniu do szkoły różnych jej dowodów. Na ich zdobycie wyzyskiwało się niedziele i wolne popołudnia. W następstwie tego wszystkie garnki, służące zazwyczaj jako modele do rysunków, były zajęte czy to gałęziami tarniny, która na słonecznem oknie w klasie miała się prędzej rozwinąć, niż na krzaku, czy kasztanów („naprawdę, nie łamałam, obcinali na ulicy i stróż mi dał"), a jeżeli któraś miała znajomego ogrodnika i dostała obcięte gałązki drzew owocowych, była prawdziwą triumfatorką.



... poddajmy się rytmowi przyrody!

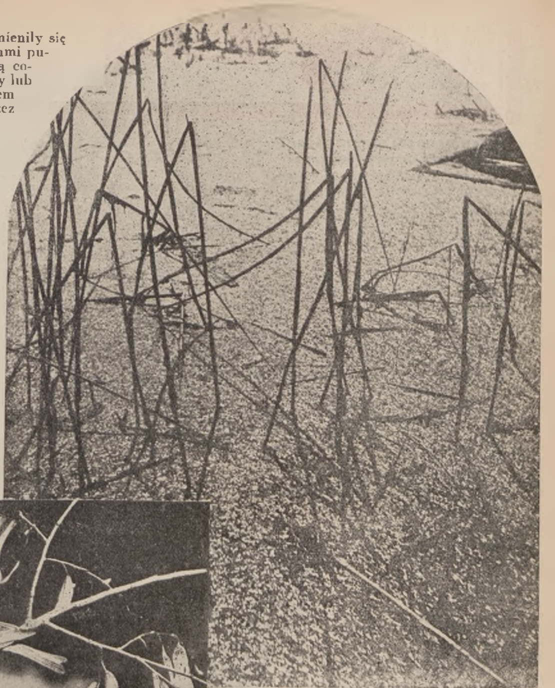
Małe tymczasem siały rzeżuchę, a podczas spaceru wyprawiały dzikie skoki za pierwszym motylem.

Nie mam styczności ze szkołami, od czasu, gdy przestałam, w trzy lata po maturze, prowadzić drużynę. Myślę jednak, że choć zmieniły się metody nauczania i program — nie zmienił się stosunek do wiosny. Jest to bowiem rzecz powszechna, międzynarodowa i mówiący wszystkiemi językami zwierząt Mowgli, był pod tym względem bardzo bliski każdej uczennicy V-ej czy VI-ej klasy.

Tylko podczas gdy on znalazłszy nareszcie w trawie poszukiwane „oko wio-

sny", i poderwany okrzykiem pawia Moor'a „odmieniły się wonie". odbywał wraz ze wszystkiemi mieszkańcami puszczy swój wiosenny bieg, my zmieniamy naszą codzienną marszrutę i okazuje się, że droga ze szkoły lub do szkoły, prowadzi czasem przez park, czasem przez rynek, gdzie sprzedają kwiaty, a czasem przez jakieś niezabudowane ulice przedmieścia, gdzie jest dużo ogrodów i pachnie świeżo skopaną ziemią. Dni stają się cudownie długie, obłoki ciężkie, zwarte i olśniewająco białe, powietrze, dotąd wdychane obojętnie, nabiera smaku i zapachu i zaczyna się je poprostu pić, a wtedy kręci się w głowie przez cały dzień i wszystko prócz wiosny staje się dalekie i nieprawdziwe. Można myśleć wtedy tylko o rzeczach nieznanych, nowych i wszystkie bohaterstwa wydają się łatwe, a wszystkie marzenia — bliskie.

Tak być musi i tak jest dobrze. Poddanie się potężnemu rytmowi przyrody świadczy, że jesteśmy dobremi przewodnikami płynących przez nią prądów i sił, zatem zdolni jesteśmy do ich czerpania. W młodości jest to naturalne i łatwe, poprostu przychodzi samo przez się i trudno zrozumieć, żeby mogło być inaczej. Ale ludzie dorośli mogą tę zdolność stracić, jeśli zbyt pozwolą się opanować okolicznościom. Kto raz był zbyt zajęty lub zmartwiony, aby zauważyć, że wiosna przyszła — przegrał wielką bitwę z życiem, pozwolił na przerwanie dopływu energji z nigdy niewyczerpanego źródła. Jeśli się zorjentuje w swej pomyłce będzie mu trudno ją naprawić — zerwany kontakt





z przyrodą niełatwo jest odzyskać; jeśli nie zauważył — zginął bez ratunku. Skończyła się wtedy jego radość życia. Chociaż postanowiłam sobie jeszcze w szkole, że nigdy nie będę przemawiała mentorskim tonem do młodszych od siebie (w myśl zasady: nie czyń drugiemu, co tobie nie miło) i nie będę im udzielała doświadczonych rad, chcę pierwszy raz od tego zobowiązania odstąpić. Oto moja rada: nie dajcie się nigdy tak opanować życiu, aby nie poddać się ogólnemu rytmowi przyrody, nie dajcie sobie nigdy odciąć drogi do wiosny.

J. Prażmowska.

WRÓG NIEPUNKTUALNOŚCI

Więc kiedy mam się zgłosić po odpowiedź sir?

— Punktualnie o pierwszej trzynaście na dworcu północnym. Drugi wagon od lokomotywy w kurjerze, zdążającym do Chicago... Będę przy oknie.

— Jeśli się nie mylę, pociąg ten odchodzi w dwie minuty później, więc... — zająknął się młody człowiek, utkwiwszy wzrok w wysokim, starannie wygolonym gentelmanie Z., który był znanym w Nowym Świecie miljonerem.

— Właśnie dlatego naznaczam nasze spotkanie na pierwszą trzynaście. W minutę wyłuszczę swoje warunki. Minutę będzie pan mógł się namyśleć, a na odpowiedź „Tak", lub „Nie!" starczy sekundy.

Młody człowiek skłonił się w milczeniu i odszedł. Ta anegdota często przychodzi mi na myśl, gdy obserwuję nieposzanowanie czasu w Polsce, a zwłaszcza w Warszawie, gdzie każdy uliczny zegar „tik-taka" sobie po swojemu, nie zwracając najmniejszej uwagi na swych kolegów z innych ulic. Kiedyś zdobyłem wcale niespodzianie rekord szybkości w przejściu z Miodowej na Złotą, okazało się bowiem, że na kurs ten nietylko nie straciłem ani sekundy, ale „zarobiłem" pięć minut. Wyszedłem z Miodowej o pierwszej dziesięć, a na Złotej byłem o pierwszej pięć! Kochane stołeczne zegary wystawowe! Wyczyniają cudeńka, o jakich samemu Einsteinowi się nie śniło!

Spóźnić się w Warszawie niesposób — zawsze się przyjdzie za wcześnie. Miałem zebranie na peryferjach miasta o ósmej wieczorem. Wsiadłem do tramwaju o siódmej trzydzieści, ale ponieważ nie wiedziałem dokładnie, gdzie mam wysiąść, zajechałem o dwa przystanki dalej. Pędzę, biegnę i zziajany wpadam do szatni. Wisi tam smętnie trzy zaledwie palta. Woźny kiwa się sennie na krześle. Na moje chrząknięcie podnosi powoli powieki, ziewa i pyta: — Pan na zebranie? — Tak. — Jeszcze czas! Nowe ziewnięcie.—Przecież już piętnaście po ósmej!—mówię.

— Przed wpół do dziewiątej się nie zacznie... Murowane!..

Trzeba przyznać, że woźny się jednak pomylił: zebranie zaczęło się za piętnaście dziewiąta. Młodzież nie odrodziła się co do punktualności od starszych. Na dziesięć minut przed dzwonkiem klasy przeważnie puste. Później gwałt, rwetes, bieganina, tłok. Teczki otwierają się z trzaskiem, bułki padają na podłogę, rumiane jabłka toczą się w tę i ową stronę, jak oszalałe. Znam jednak jednego wielkiego wroga niepunktualności. Poznałem go w pewnej szkole na prowincji, gdzie pracowałem przed sześcioma laty.

Było to gimnazjum-olbrzym, liczące około sześciuset uczennic! Spóźnienia tam nie istniały. Sekret tego stanu rzeczy odkryłem zupełnie przypadkowo. Zaszedłszy kiedyś po południu do gimnazjum, wstąpiłem do którejś z klas i tam taka oto scena przedstawiła się moim oczom: Przy katedrze siedziały trzy uczennice klasy czwartej, o obliczach pełnych surowości. Czwarta przemawiała coś głosem suchym i urzędowym, zaś przed katedrą tkwiła piąta — mocno zmieszana i niepewna. Domyślacie się, że był to sąd koleżeński. Sądy koleżeńskie na terenie wspomnianej szkoły wypleniły nietylko spóźnianie, ale wymiotły precz obmowy, plotkarstwo i zniszczyły wszelką niesubordynację.

Czy w innych szkołach się to uda — to pytanie. Zależy to od tego, czy życie samorządowe jest tam silnie rozwinięte i od zrozumienia przez społeczeństwo uczniowskie, że wszędzie... „porządeczek musi być!"

J. Waśniewski.

SPORT

JAK NAUCZYŁAM SIĘ LATAĆ
opowiada Danuta Sikorzanka

Kiedyś, jeszcze w 1929 roku, gdy byłem raz na lotnisku zobaczyłem podchodzący ku ziemi samolot. Powiedziano mi, że ląduje właśnie jedna z pilotek Aeroklubu p. Danusia Sikorzanka. Nie chciałem wierzyć, a gdy samolot znajdował się tuż, tu nad ziemią — odwróciłem oczy, nie chcąc patrzeć się na ewentualny wypadek. Ale wylądowała szczęśliwie. Od tego czasu przekonałem się, że i kobiety mogą z całem powodzeniem latać samodzielnie.

Panna Danusia jest wysoka i szczupła. Nosi długie włosy (pomyślcie — pilotka z długiemi włosami!). Uśmiech często rozjaśnia jej twarz, szczególnie gdy rozmowa schodzi na tematy lotnicze. Coprawda na zajmowanie się lotnictwem ma obecnie mało czasu, gdyż jako absolwentka Lwowskiej Politechniki uczy w jednem z żeńskich gimnazjów.

Gdy zapytuje się ją, czy podczas swych szkolnych lat myślała kiedy o lotnictwie, uśmiecha się i mówi:

— Proszę mi wierzyć, że nie. Nawet dobrze nie zdawałam sobie sprawy, jak właściwie wygląda samolot. Nie należy sobie wyobrażać, że pilotki już od dzieciństwa marzą o lataniu. Wprost przeciwnie. Myślą o książkach, lalkach, ładnych sukniach, zabawach. Ot, jak zwykle marzą dziewczęta w szkole.

Zainteresowanie do lotnictwa przychodzi jakoś nagle. Zresztą proszę posłuchać.

— Byłam zdaje się na drugim roku „polibudy" (politechnika w języku studenckim), gdy raz przyszedł do mnie jeden z kolegów, proponując, czy nie mogłabym zająć się trochę sekretarjatem w Związku Awiatycznym — kole naukowem na Politechnice. Ponieważ chętnie pracowałam społecznie — więc się zgodziłam. W związku Awiatycznym poznałam się trochę z lotnictwem, później zaś skoro powstał Aeroklub Akademicki, wciągnięto i mnie do pracy w tej organizacji. Pomimo tego, iż pracowałam już jakiś czas w Aeroklubie, nie marzyłam ani przez chwilę o tem, bym mogła latać samodzielnie.

Samo latanie, jako takie bardzo mi się podobało. Kilka razy zabrano mnie na wojskową maszynę i pokazano miasto z góry. Nie miałam zupełnie żadnego strachu, tylko za każdym razem żałowałam, że lot tak krótko trwa. Potem Aeroklub zorganizował kursy teoretyczne o pilotażu. Ponieważ żywo się wówczas interesowałam kwestjami lotniczemi, pilnie uczęszczałam na te wykłady, traktując je jako przyjemność, a nie jako drogę do zdobycia umiejętności pilota.



... uśmiech często rozjaśnia twarz panny Danusi...



... pokazano mi śmiat zgóry...



Dopiero gdy grupa przyszłych pilotów jechała na badania do tak zwanej „Cebuli" (Centrum Badań Lekarskich dla lotników) — myśląc o nauce pilotażu — wybrałam się z nimi, gdzie uznano mnie za kandydatkę na pilota.

Wreszcie przyszedł w jesieni 1929 r. dzień, w którym wsiadłam z instruktorem sierż. Pakułą do starego „Hanriota" na pierwszy szkolny lot. Loty takie, trwające około 5 min., odbywałam potem dosyć często, po trzy — pięć na jeden dzień. Pewności dodawała mi zawsze świadomość, że przedemną siedzi instruktor, który natychmiast skoryguje każdy mój niezręczny ruch „knyplem" (drążkiem sterowym).

Ale najgorsza chwila miała dopiero przyjść. Pod koniec tych lotów szkolnych, kiedy już nabrałam nieco wprawy, mówi do mnie któregoś dnia instruktor: „Może pani sama polecieć, proszę wszystko robić tak jakbym siedział z panią w maszynie".

Mam trochę tremy, ale nic — startuję! Oderwałam się od ziemi i kiedy już miałam robić pierwszy wiraż, zrobiło mi się jakoś głupio — na siedzeniu przedemną nie widziałam szerokich pleców instruktora. Musiałam więc polegać sama na sobie. Ziemia wydała mi się strasznie wysoko; byłam sama. Ale jak mi się udał pierwszy wiraż, to już wszystko było w porządku. Wpadłam w świetny humor. Proszę sobie wyobrazić moją radość, kiedy poczułam, że maszyna i motor robią to, co ja chcę. To zadowolenie trudno opisać słowami.

— Czy o lataniu Pani wiedziano cokolwiek w domu?

— Nic podobnego. Zresztą rodzice moi mieszkali wówczas w Łodzi, a ja we Lwowie. Nie myślałam się tem chwalić, bojąc się, by mi nie kazano przerwać mojej nauki pilotażu. Kiedyś, podczas feryj Wielkanocnych, gdy już miałam licencję pilota, przysłał ktoś memu ojcu wycinek z gazety, zawierający listę nowych pilotów. Ale jako post factum przeszło to na szczęście bez burzy.

— A najprzyjemniejszym momentem z przeżyć lotniczych...

— ... był naturalnie ten pierwszy samodzielny lot, kiedy zaznałam rozkoszy władania maszyną. Pozatem do najmilszych wspomnień zaliczam nasz lot dokoła Polski, jaki zrobiłyśmy w 1931 r. wraz z moją koleżanką klubową Wandą Olszewską. Lot ten, który odbyłyśmy na dwóch samolotach PZL5, miał znaczenie propagandowe, to też pokolei odwiedziłyśmy wszystkie niemal miasta Polski. Po starcie w Katowicach, leciałyśmy na Kraków, Lwów, Stanisławów, Tarnopol, Łuck, Brześć, Baranowicze, Lidę, Wilno, Grodno, Warszawę, Toruń, Grudziądz, Poznań, Łódź, by przez Kraków wrócić do Katowic, gdzie właśnie odbywał się wielki meeting lotniczy z udziałem wszystkich naszych „asów". Byłyśmy w całym kraju przyjmowane bardzo serdecznie i gościnnie, a wiele ludzi, szczególnie ze starszego społeczeństwa przekonało się naocznie, że lotnictwo nie musi być taką wielką sztuką, skoro dwie młode kobiety mogą samodzielnie robić lot dookoła Polski.



Danuta Sikorzanka i kpt. Bolesław Orliński na lotnisku w Katowicach.

Panna Danusia mówi bez przesady i patosu o swojej karjerze lotniczej. Bierze ją jako rzecz naturalną i prostą. Jest rasową przedstawicielką młodego pokolenia kobiecego, umiejącego dać sobie radę samodzielnie w życiu. Za to należy się jej uznanie, a przykład jej jest godny naśladowania.

J. Radzimiński.

ALJANCI

(Nowela z lat niewoli)

Wacek z panem Gwoździkiewiczem strzelali w kręgle przed gankiem. W alejkach trzeszczało od liści: leżały jedne na drugich — zupełnie ciemne, rude i złote. Amalka poruszała je nogą i wtedy wyglądała w szparach wilgotna, pachnąca grzybami ziemia. Amalka szła przed siebie bezmyślnie — byle jaknajdalej od stuku sprowadzonych niedawno z Warszawy (pocztowym dyliżansem na Radom) — kręgli. Nie mogła tego zupełnie znieść. Nie mo-gła! Wszystko (i zabawa w kręgle!) skończyło się tego dnia, kiedy matka, za namową pani sędziny Modrzyckiej, sprowadziła dla niej (!) — „Madame". Zaczęły się męki: *Oui, — non.* — Madame Mathilde furkotała taftową spódnicą po podłogach olszańskiego dworu. *„Oui — non, oui — non"* — szumiała tafta. Amalka zgrzytała wprost zębami. Nie mogła znieść chrobotu jedwabnej spódnicy i tego *„r"*, które bulgotało i gotowało się w gardle „Madame" chyba przez parę minut. Wszystko stało się pokraczne: poranek nie był już skokiem z łóżka w chłodną świeżość ogrodu. Zaciemniło go cudzoziemskie powitanie: — *bonjour Amalie* — i „szu-szu-szu" taftowej spódnicy. A jeszcze — to było chyba najgorsze. — sznurówka. „Madame" mówiła coś długo matce. Amalka prawie nie umiała po francusku, więc nie rozumiała nic. Z tych konferencyj wynikła znowu rozmowa Amalki z matką, że „Madame" zauważyła (czemuż nikt przedtem nie zauważył!) — niezgrabne „trzymanie się" Amalki. Trzeba więc, aby Amalka nałożyła sznurówkę. *(Oui, oui! Une ceinture de bonne tenue!)* Amalka zrozumiała, że tu już nic pomóc nie można. Zwłaszcza, że pani Modrzycka kupiła dla swojej grubej Klarci jakiś pancerz z „brykla", a wszystkie nowości dziwnym, dla Amalki niezrozumiałem echem, przedostawały się z modrzyckiego domu do dworu w Olszanie.

Kiedy zapadł wyrok, zakuwający Amalkę w kajdany fiszbinów, dziewczynka wstrzymując łzy pognała w ogród między zrudziałe porzeczki. Długo siedziała w kucki na chłodnem zielsku z dziką złością ściskając pięść. Mówiła w myśli do „niej" wstrętnie i z nienawiścią: — Francuzica! — Szurpak! — Czupiradło! — Była upojona złością, która się w niej gotowała. Tak! Tak! Jest zła! Grzeszy, ale niechże tak, niechże tak, skoro „ona" zabrała jej to, co ceniła najbardziej: wolność!

Bo oto skończyło się wszystko, kiedy fiszbinowe cudactwo przybyło (pocztowym dyliżansem na Radom) z Warszawy. Amalka czuła się unieruchomiona jakiemś sztucznem rusztowaniem. Zerkała smutnie ku drzewom i parkanom, które przestały być dla niej celem „włażenia". Nie mogła. Tak. Nie mogła porządnie ruszyć się, ani zgiąć, a cóż dopiero łazić po drzewach!

Teraz chodziła oto po olszańskim ogrodzie z „nią", lub — rzadko — sama, znudzona, sztywna, jak drąg i całemu światu niechętna. Wacek z preceptorem Gwoździkiewiczem grali w kręgle, lub jeździli łódką po stawie, a ona?

Nie — nie mogła przywyknąć, choć już minęło dobrych parę tygodni i pożółkły zdrowe, letnie liście w olszańskim ogrodzie. Za to mogła się już conieco z „madame" dogadać. Tylko, że burczały obie do siebie niechętne, nieżyczliwe — całkiem się nie rozumiejące.

Matka patrzyła na to mało: miała dużo pracy przy doglądaniu gospodarstwa i dużo jeździła po sąsiedzkich dworach: Amalka i madame Mathilde żyły wrogo sam-na-sam. Tak: sam-na-sam, bo odkąd zjawiła się Matylda, Wacek zniknął z horyzontu siostry. Łupił w kręgle z preceptorem, lub kuł: *amo, amavi* — (nieśmiertelne kochanie!) w chłodnym parterowym pokoju, gdzie pachniało wilgocią i zbutwiałemi jabłkami. Potem gnał w pole, czy w las konno lub na swoich chudych, chłopczyńskich nogach, dziki i wolny. Gwoździkiewicz go nie męczył. Poza „kuciem" i jakąś tam zabawą (kręgle czy łódka) —Wacek był sam. Gwoździkiewicz, czarniawy, trochę ponury, jak zauczone dziecko, żył w zgodzie z uczniem, ale go nie dręczył swoją obecnością. Często zamykał się w swoim pokoju i pisał coś na krótkich kartkach papieru. Przytem wzdychał. Tak: Gwoździkiewicza można było znieść, ale „Madame" była zmorą, która była obecna zawsze i wszędzie.

— *Amalie! Amalie!* — Amalka drgnęła od złości i przyspieszyła kroku. W sad! W sad! Kucnęła, jak i wtedy w porzeczkach i zawzięła się w milczeniu. („Niech mnie teraz szuka choćby i sto lat!") Chłodna, lepka nitka „babiego lata" uderzyła ją po oczach. Amalka skuliła się w sobie. Zrobiła się jakby mniejsza i taka bardzo biedna. Było jej żal siebie. Łzy, duszone wstydem i tą „olszańską" skrytością, ukazały się w kącikach oczu. A potem popłynęły. Prędko, prędko! Jedna za drugą. Ściekły słonym strumieniem ku trzęsącym się ustom.

— Amalka!

(Bu-u-u-u)

— Czego beczysz?

Szurpakowata głowa Wacka wysunęła się z porzeczkowych gąszczy. Jasne oczy wpatrzyły się życzliwie w spuchniętą od beku twarzyczkę. Wtedy buchnęła w jego braterskie ramiona i jęła szeptać bezładnie, trzęsącemi usty prosto w jego podrapane uszy, że tak nie może, że nie wytrzyma, że „ona" ciągle za nią łazi, że ją, Amalkę, skuto fiszbinowemi obręczami, że chyba zamrze, albo co! Matce niema co mówić: przecież Klarcię Modrzycką też tak chowają, ale on, brat, towarzysz nadrzewnych, parkanowych wędrówek niechaj wie, jak bardzo, jak bardzo jest nieszczęśliwa!

Łkała już nadobre, niepamiętna na nic, tylko na swą nieszczęsną niewolę. Wtedy Wacek odjął jej zamaćkane ziemią i zgniecionem zielem rączyny od zapłakanych oczu i powiedział poważnie:

— Nie becz, Amalka! Na miły Bóg, nie becz! Ja cię poratuję!

— ??

— Ja cię poratuję. Zawiążemy *aljans*. Nic

się nie bój. Wojna z aljantami jest trudna. Wygramy wojnę z Francuzicą!

— Jakże to?!

— Cicho, głupia!

Amalkę podrzuciła obraza na te słowa, ale Wacek przytrzymał ją mocnemi rękami przy porzeczkowych krzakach i jął dokumentnie klarować w czem rzecz: — wojna podjazdowa. Partyzancka. Potyczki. Dręczenie. Niepokoje. Aż do pognębienia wroga. Taki system. Póki nie zrejteruje. Jeno tylko: — ręka w rękę. On i ona, Amalka. *Aljanci.*

Amalka pojęła. Otworzyła szeroko oczy i kiwała głową. Tak! Tak! A napoczątek: szurówka! Aż krzyknęła z radości! Sznurówka! Sznurówka!

Jak odzew dało się słyszeć z końca ogrodu.

— *Amalie! Amalie!* —

■

Madame Mathilde siedziała wieczorem przy małem lusterku. W blasku dwóch świec twarz jej była jeszcze chudsza i mizerniejsza. Od paru tygodni żyła w nieustannym ruchu. Była do ostatnich granic wymęczona. Nic to, że zginęła amalcina sznurówka i że ją potem Walek znalazł zmaltretowaną w podwórzowej studni; nic to, że codzień rano daremnie szukała swego przypinanego warkocza, że nieustannie znajdowała rozsypane igły i nici przy robocie. Najgorsze było to, że żyła w atmosferze naładowanej nieżyczliwą czujnością Amalki. Musiała się strzec, zabiegać, by każda ze zwykłych, codziennych spraw nie zmieniła się w prawdziwą niedolę dzięki jakiejś djabelskiej aktywności ponurej i biernej do tej pory dziewczynki. Śniadanie, obiad, spacer, *„exercices"*, wszystko stało się terenem walki: Amalka — „contra" madame Mathilde. Amalka wyzwolona ze zniszczonej w studni sznurówki, stała się dzikiem lichem, dla którego nie istniały drzwi zamknięte, okna, parkany, ni inne przeszkody.

Jakim zachęcającym do wszelkich szalonych poczynań ogniem płonęły przy każdej awanturze oczy wyrostka, amalkowego brata! Madame zdawało się, że oto z mroku śledzi ją złe, nieżyczliwe, nawpół jeszcze dziecinne spojrzenie. Ale w ciemnawym pokoju nie było nikogo. I oto w samotności zaczęła rozpamiętywać swe życie. Ów szmat dni i godzin, które upłynęły jej w tym kraju, o którym jej mówiono, że jest dziki i „wschodni", a który był przecież bliski temu „zachodowi", jaki znała. Wędrówki z kuferkami po nieznanych domach. Małe *mademoiselles,* które uczyła, a które (jakże rzadko!) darzyły ją swem przywiązaniem. Podolskie równie, mazowieckie łąki, niekłańskie lasy — jakże dużo widziała! Dwory, jesionowe stoły i krzesła, kominki, na których płonął pachnący drzewem ogień. Tak samo, tak samo wszędzie... Jakże dziwnem było jej życie: długie, a tak łatwe do streszczenia. *Exercices — promenades...* Jakże jednako wyglądały we wspomnieniu te Amalki, Zosie, Klary... Furkotały wkoło w mroku sztywne organdynowe spódniczki. Niebieskie i czarne oczy śledziły grę jej twarzy. Czyż zabłyśnie kiedyś w jakichś dziewczęcych oczach jasność życzliwa dla niej, dla madame Mathilde?..

Za oknami pokoju szumiał ogród olszański. Za ogrodem — wielki polski *las.*

■

Śnieg sypał. Sypał już od wieczora. Czasem mróz wyczyszczał niebo, aż do ostrego, mocnego błękitu. Madame nałożyła salopkę i wędrowała z Amalką na krótkie przechadzki po ogołoconym z liści ogrodzie. Złość Amalki się wyczerpała. Zdawało się, że brakło jej konceptu do codziennych złośliwości... Czasem rozmawiały niemal przyjaźnie. O nowej sznurówce nie było mowy. Poprostu — poszła w niepamięć. Zwłaszcza, że było tyle innych, ważniejszych spraw. Działy się one niedaleko. Za olszańskim ogrodem. W *lesie.* Znajdowano tam — trupy. Często chowano je tajemnie — w nocy. Koło młyna w Dobrowoli, w zaroślach hukały strzały. Las tętnił od wojennych ech. Niepokój straszny, zaczajony w pogodnem styczniowem powietrzu dusił i ściskał za gardło. Ogarnął i olszański dom. Preceptora wackowego, Gwoździkiewicza, już dawno w dworze nie było. Zniknął któregoś wieczoru. Na wieść o tem, co się stało, madame jęknęła cichutko: — *Jesus-Marie.*

Wtedy poczuła na sobie szybkie spojrzenie Wacka i Amalki.

Wacek chodził teraz samopas, walkoniąc się setnie. Włóczył się od okna do okna, zgoła nie słuchając, co do niego mówiono. Amalka siedziała cicha, szyjąc coś gorliwie po kątach. Madame było nieswojo. Wielki niepokój duszący atmosferę domu spychał gdzieś w pogardzony kąt jej lekcje, konwersację, gramatykę i wyszywanie na „tamburku" kwiatkowych patarafek. Niewiadomo dlaczego, ale z jakiegoś wewnętrznego przekonania zwolniła Amalkę od wielu obowiązkowych zajęć i usuwała się powoli z jej dnia, z tych godzin, które powinna przecież z nią spędzić, rozmawiając swym ojczystym językiem. I — dziwna rzecz — teraz, gdy przestawały z sobą mało, Amalka wydawała się jej bliższa, niż wówczas, gdy były cały dzień razem. Zerkała czasem ze swego kącika ku „madame" i w jej oczach błyskało coś nakształt *porozumienia.* Francuska uśmiechała się wówczas do uczennicy swemi wąskiemi, blademi wargami.

Wszystko ucichło, jakby siły się wyczerpały. Aż któregoś dnia wypadł Wacek z ojcowskiego pokoju rozwichrzony, blady, całkiem dziki. Ojciec krzyknął: — Ani się waż! — i trzasnął drzwiami.

Wacek wpadł na „Madame". Dyszał mocno, jak ścigane zwierzątko. „Madame" spojrzała prosto w twarz swego młodego wroga. Spojrzała zmęczonemi, czarnemi, egzaltowanemi oczami. Powiedziała:

— *C'est dur d'etre esclave... N'est-ce pas?* — i odeszła. Jej taftowa suknia denerwująco szurała po drewnianej olszańskiej podłodze.

■

Tego wieczoru śnieg zawiewał z północy aż dzwoniły szyby. Las słychać było nawet w salonikn. Gałęzie łomotały na wichrze. W żółtem świetle lampy Amalka wodziła palcem po książce, czytając francuskie wiersze:

Ne pourrons-nous jamais sur l'ocean des ages jeter l'ancre un seul jour?

Czytała powoli robiąc jeszcze dużo błędów. Madame kiwała do taktu chudą szyją: — *Ne — pour — rons — nous — ja — mais...*

Wacek czytał coś w drugim końcu pokoju. Jak mógł, skoro tam było całkiem ciemno? W każdym razie szeleścił kartkami. Matka spała zmordowana bólem głowy, który dręczył ją cały dzień. Ojciec został na noc w miasteczku.

Amalka nagle umilkła. Wiatr walnął w szybę, jak kanonada. Huk odbił się od domu i uderzył w ogrodowe drzewa. Za ogrodem dudnił w ciemności las.

— *C'est assez, Amalie.*

Amalka złożyła książkę. Madame była podniecona. Na jej chude policzki wystąpiły ceglaste rumieńce. Wstała od stołu i zapaliwszy świecę odeszła z nią ku drzwiom.

— *Bonsoir, mes enfants.*

— *Bonsoir* — burknął Wacek.

Amalka cichutko poszła za madame na górę. Zamykając drzwi swego pokoju spojrzała w stronę pokoju nauczycielki. Madame stała w progu. Świeca oświetlała jej zmęczoną twarz.

— *Bonsoir — cherie* — powiedziała.

■

Madame Mathilde nie mogła spać. Gałęzie łomotały o zamknięte okno. Wreszcie koło północy zmorzył ją krótki, gorączkowy sen. Nagle wiatr krzyknął głośniej w ogrodzie. Siadła na łóżku. Do łopotu gałęzi dołączył się odgłos tysiąckroć cichszy, lecz bardziej niepokojący. Madame Mathilde nadsłuchiwała... Coś, jakby chrobotanie w sąsiednim (Amalki) pokoju. Wiatr, który tłukł drzewa, głuszył co chwila ów niepokojący szmer. Wtem wszystka krew spłynęła jej do spłoszonego serca, bo oto usłyszała głos Amalki:

— Masz wszystko?

— Tak... (to Wacek).

— Bój się Boga!.. Bój się Boga...

— Muszę. Sama rozumiesz, że muszę!

— Tak...

— Cicho... Cicho...

Madame pojęła wszystko. To było jasne i proste. Jasny i prosty był również jej obowiązek. Wiedziała przecież, co *o tem* sądzili ojciec i matka... Tak; madame wiedziała, jak postąpić należy. Trzęsącemi się rękami zapaliła świecę. Wsunęła nogi w znoszone „moljerki". Otuliła się w rotundę i wyszła na korytarz. Tam byli już oni oboje: Wacek i Amalka. Amalka w jakimś — pożal się Boże — dziewczyńskim szlafroczku, on w polskiej burce, futrzasty, czapiasty i zbrojny. W dzikiej twarzy wyrostka płonęły pół-bohaterskie, pół-przerażone oczy. Madame Mathilde stanęła blada w dygocącej smudze światła.

— *Mes enfants* — zaczęła — i głosu jej zbrakło.

Chłopak rzucił się dzikim, niesfornym ruchem, jakby chciał jej zakneblować usta. Ale Amalka przytrzymała go za rękaw strasznej kurtki, przez ramię której szedł bojowy pas, i spojrzała w twarz madame Mathilde wielkiemi proszącemi oczami. Spojrzenie to, wilgotne od łez, mówiło wszystko. Madame pojęła, że oto nadeszła chwila, w której stanęła najbliżej tajemniczego serca swej uczennicy. Nagle załamało się coś w niej. I zrozumiała, że gotowa jest popełnić *szaleństwo.* Wilgotne oczy Amalki były nietylko pełne prośby — były pełne zaufania.

— *Oui* — wyszeptała gdzieś przed siebie — *Oui — mon frere — lui aussi — fut soldat pour combattre en 1848 pour la liberte des nations..*

Te dziwne słowa nie odnoszące się ani do chwili, ani do stanowiska madame Mathilde, były jednak zrozumiałe dla dziurawej francuszczyzny Wacka. Jakimś dziwacznym ruchem ujął trzęsącą się dłoń madame i — ucałował.

— *Nous sommes allies* — wydukał.

Potem stało się to — najdziwniejsze. Przy huku styczniowego wiatru, który walił o olszański dwór, stara egzaltowana Francuska sprowadziła wdół po trzeszczących schodach wyrostka w rogatej czapie, w krótkiej kurtce, z pistoletami za pasem. Otworzyła mu drzwi własnym kluczem, który wręczono jej przy przybyciu do tego domu. Jej zmęczone oczy zobaczyły, jak chłopiec gnał przez kotłujący śniegiem wiatr w stronę czarnego w nocy bezgwiezdnej — *lasu.*

■

Zamknęła cicho drzwi i wróciła do siebie. Zdawało się jej, że to co uczyniła dodało jej sto lat. Z trudem, ciężko dysząc położyła się na łóżku. Nad nią stała Amalka.

— *Cherie* — powiedziała.

„Madame" podniosła na nią zdumione, umęczone oczy.

— *Cherie — est — qu'il est mort — votre frere?*

— *Pour la liberte des nations* — wyszeptała madame Mathilde, patrząc w spłakane, niebieskie oczy Amalki.

Hanna Januszewska

Zawód, który zawodzi

Czy znacie gmach Konserwatorjum Warszawskiego? Stary gmach bielejący odnowioną fasadą w perspektywie ulicy Ordynackiej i romantycznie podparty warownemi, zdawałoby się murami, od strony spadzistej ulicy Tamki?

Na początku roku szkolnego, we wrześniu, wypełnia ulicę Ordynacką, rok rocznie gwar młodych, dziewczęcych głosów... Zdenerwowane twarze, drżące ręce, trzymające pliki papierów, spieszne kroki... W głębi gmachu Konserwatorjum, na parterze znajduje się kancelarja „Warszawskiej Szkoły Dramatycznej", przyjmująca zapisy kandydatek... Stąd ten gwar, ten ruch. Chłopców mało. Dziewczęta za to gremjalnie zgłaszają swoje kandydatury do wstępnego egzaminu. Mizerne, szczupłe, drobną swą postawą nie odpowiadające warunkom scenicznym — skierowują pytające spojrzenie na panią Sekretarkę. Duże, hałaśliwe, zmanjerowane — przedstawiają swe papiery, najczęściej pozostawiające wiele do życzenia... (dwójki na świadectwach szkolnych). Wysoka panienka o wielkich oczach, zamiast 2 fotografji — przynosi piętnaście! Jest bezwarunkowo fotogeniczna, ale bez... wyrazu. Ta miła blondyneczka, której się zdaje, że przypomina Mac Donald — przynosi swe poezje, ale mówi z... kluskami w ustach.

Profesorowie Warszawskiej Szkoły Dramatycznej najczęściej wyławiają zaledwie *kilka* z tych kilkudziesięciu kandydatek. Z tych kilku nie wiadomo jeszcze też, co będzie! Bo to praca ciężka i rzetelna czeka... na całe życie (a nie wszyscy ludzie lubią i umieją pracować). Przytem... do Teatrów Warszawskich dostać się więcej niż trudno, a na prowincji zmarnować się łatwo.

Jeżeli jednak, pominąwszy wszystkie przeciwności, rywalizacje i trudności, osiągnie się rezultaty swej pracy i talentu, jakże i wtedy ciężką jest ta droga „karjery scenicznej"...

Opowiem Wam kilka historji prawdziwych z życia naszych znanych artystek, tych, których talent, uroda, praca, wytrwałość doprowadziły do sławy!

*

Przybyłko-Potocka jest wielką aktorką. Odtwarzała w życiu kilkadziesiąt typów scenicznych, o różnorodnej psychice. Za każdym razem była inna w charakteryzacji zewnętrznej i wewnętrznej. „Królowę Elżbietę" w sztuce Brucknera grała najlepiej ze wszystkich artystek w Europie!

Powinna by się czuć szczęśliwą — nieprawdaż? Tyle ról, tyle braw, tyle recenzyj teatralnych pochlebnych, tyle kwiatów!

A jednak szczęśliwa nie jest. Jest zmęczona. Przygotowanie roli, próby, opanowanie tekstu pamięciowe — to wielka, żmudna praca. Całe noce, spędzane na pracy, aby wydobyć „żywą postać" sceniczną. A potem dziesiątki, setki wieczorów — „takich samych". Nie można mieć przez cały ten okres, kiedy sztuka „idzie" — ani bólu głowy, ani grypy, ani zmartwienia. Trzeba uśmiechać się i grać — bo „zerwać" przedstawienia nie można.

Ostatnio Przybyłko-Potocka miała silny bronchit. Leżała całe dnie w łóżku, brała lekarstwa, piła gorącą herbatę z cytryną, a wieczorem przewożono ją do teatru w zamkniętym aucie, aby grała w trzyaktowej sztuce, nie schodząc prawie ze sceny!

Bała się, że kaszel ją chwyci.

Rok temu w „Elżbiecie — Królowej Anglji", przebierała się kilkanaście razy i zmieniała peruki, mając dreszcze i silną gorączkę.

Patrząc na nią z widowni — zachwycaliśmy się jej grą.

Ona... — marzyła o łóżku i ciszy wypoczynku, który każdy zwykły śmiertelnik ma w domu, szpitalu, czy lecznicy...

*

Choroba — to jeszcze nie to najgorsze — co męczy na scenie i wielkim głosem woła o „niewolnictwie" fachu aktorskiego. Największym ciężarem jest zmartwienie osobiste, którego okazać nie wolno, nie można. Ileż to uśmiechów spływa do nas ze sceny po przez łzy. Ćwiklińska kiedyś grała rolę bardzo niefrasobliwie uśmiechniętej pani, budząc śmiech na sali, bezpośrednio po odejściu od trumny swej przyjaciółki.

„Ona była taka młoda i... miała dwoje maleńkich dzieci, które zostawiła", żaliła się do mnie po przedstawieniu.



Marja Gorczyńska w roli pensjonarki.



Marja Gorczyńska *fot. Dorys.*

Jeden z aktorów w „Damach i Huzarach" Fredry śmieszył widownię swym rubasznym humorem, podczas kiedy synek jego ciężko chorował na dyfteryt. Żegnał się więc za kulisami. I modlił podczas antraktów w swej garderobie, pełnej świateł, luster i szminki.

Najtragiczniejsze przejście może miała w swej karjerze scenicznej Gorczyńska.

Oto, jako młodziutka adeptka Szkoły dramatycznej musiała przezwyciężyć wiele trudności, gdyż Rodzice, mieszkający w Lublinie nie chcieli zgodzić się na jej karjerę sceniczną. Pokonawszy jednak pracą i prośbą wszystkie przeciwności — zostaje zaangażowaną przed ukończeniem Szkoły Dramatycznej na scenę Teatru Polskiego. Co za tryumf — jechać do Lublina na wakacje z podpisanym kontraktem w kieszeni! Rodzice dają swoje pozwolenie!

Boże mój, co za radość!

Ale ta radość tak krótko trwa. Oto wielka rola w „Szyldkretowym Grzebieniu", nie będzie widzianą przez matkę, nie będzie widzianą przez ojca!

W dniu premjerowym, kiedy wielka, mieniąca się od barw, rola czeka na odtworzenie — przychodzi depesza z Lublina... Ojciec umiera.

Gorczyńska musi grać. Nie wolno jej zrywać przedstawienia!

Opanowuje się nadludzkim wysiłkiem i gra. Słyszy pierwsze oklaski i widzi za kulisami pierwszy raz wielkich naszych krytyków, którzy przyszli Jej złożyć życzenia.

Lecz to wszystko blednie i traci na tęczowych barwach, wobec tej depeszy z krótką wiadomością, leżącej na toalecie garderoby teatralnej. Tryumf Wielkiego Dnia zatruty goryczą

świadomości, że jutro... będzie można na godzin kilka zaledwie pojechać do Lublina, by wieczornym pociągiem powrócić na czas, na drugie z kolei przedstawienie... „Szylkretowego Grzebienia"...

*

Aktor nie ma czasu na... swoje życie. Jeżeli chcecie wstąpić na scenę—to pamiętajcie o tem, że Jaracz rano ma próby, po południu nagrywa film, a wieczorem gra w Teatrze Ateneum. Pamiętajcie o tem: że... Zelwerowicz rano reżyseruje sztukę, po obiedzie ma dwie godziny wykładów w Szkole Dramatycznej, a wieczorem gra w Teatrze Polskim... Pamiętajcie, że Ćwiklińska ma całą noc jeneralną próbę, cały dzień mierzy tualety na czas nie wykończone, a wieczorem występuje w premjerze, słaniając się na nogach!

*

Jeżeli już koniecznie chcecie grać... To przedewszystkiem pomyślcie, czy rzeczywiście macie talent: czy rzeczywiście bez sceny życia nie rozumiecie? Jeżeli czujecie, że macie iskrę Bożą w sobie, że rezygnujecie z własnego życia i szczęścia, że decydujecie się na pracę i ewentualną nędzę — to idźcie. Takie, widocznie jest wasze przeznaczenie. W przeciwnym razie, jeżeli chodzi wam o snobizm, sławę i poklask — zawracajcie z drogi, póki czas!

W schronisku Artystów Scen Polskich, w Skolimowie dużo jest samotnych, starych emerytek scen naszych. — One opowiedziałyby Wam niejedną smutną historję, jako ostrzeżenie.

*

Największą zachętą dla was, zwykle bywają przedstawienia pensyjne. Dobrze odtańczony krakowiak, odśpiewana piosenka, czy wypowiedziany wierszyk — to jeszcze nie wszystko. Publiczność i koleżanki zwykle na amatorskich przedstawieniach, bywają pobłażliwi, a często nawet pełni zachwytu. Gorzej jest z publicznością Wielkich Teatrów!

Smosarska i Gorczyńska odniosły coprawda w ten sposób pierwsze sukcesy. Przebrane w szale i suknie swych mam odtwarzały tragiczne przeżycia bohaterów, zaczerpnięte z literatury dziecięcej. Później na deskach teatrów pensyjnych zbierały pierwsze oklaski.

Ale to są wyjątki. Rzadkie wyjątki. I dlatego chciałabym was przestrzec, aby wam oszczędzić zawodów przed obraniem sobie tego niebezpiecznego... zawodu. Ostrzec, bo widziałam tyle smutnych twarzyczek po egzaminie w Szkole Dramatycznej i tyle zapłakanych oczu tych, które Szkołę ukończyły i... nie zostały nigdzie zaangażowane.

*

Janina Wyczółkowska-Surynowa

Jaracz rano ma próby, popołudniu nagrywa film a wieczorem gra w teatrze Ateneum. Życie całe ma naładowane po brzegi wielką, intensywną pracą, odtwarzając przeważnie głębokie wszechludzkie tragedje. Przykład, jak całe życie pochłania teatr.





Marja Przybyłko-Potocka odtworzyła w życiu kilkadziesiąt typów o różnorodnej psychice. Talent jej pogłębia się coraz bardziej, dając widowni ciągle nowe wzruszenia, nawiązując z nią nici trwałej i wdzięcznej przyjaźni.

BRATNIE DUSZE

„Hallo! tu Promyczek, czy pozwolicie mu się wcisnąć między Was — i zawrzeć bliższą znajomość? Bardzo Was proszę, jeżeli która z Was chciałaby ze mną się zapoznać, niech do mnie napisze, a natychmiast jej odpowiem. Mam lat 16, jestem w VI klasie, posiadam trochę humoru — i trochę sentymentalności, kocham wszystko i wszystkich. Chciałabym korespondować z dziewczynką, która lubi podróżować (a może już podróżowała), niech się odezwie do mnie także jakaś dziewczynka, mieszkająca na wsi (niekoniecznie cały rok), mająca własnego konia i może jakieś inne zwierzę, wszystko jedno w jakiej części Polski mieszkająca. Proszę bardzo „Chinkę", by do mnie napisała. Adres mój w Redakcji"

„Promyczek".

Czy „Świat Dziewcząt" prenumerują takie „smarkate" jak ja (12 lat)? Jeżeli są, to niech się która odezwie w „Bratnich Duszach" do

„Szarotki".

Mam lat 15-cie, jestem uczennicą klasy 4-tej gimn., pragnęłabym dla wprawy korespondencję prowadzić w języku angielskim.

Zocha Opielówna.

Młyn parowy, Cegielnia w *Żyrakowie*. Skrzynka pocztowa — Dębica z list. WP. Darlaka.

Na samym wstępie wzniosę okrzyk: „niech żyje „Świat dziewcząt" i dziewczęta"!! — Szkoda, że nie mogłyście go usłyszeć — był głośnym jak bojowy okrzyk Indjan, w następstwie czego nasza Marynia uważała za stosowne upuścić talerz z zupą, a szkoda, bo była to jabłczanka!!

Teraz znów „bratnie duszyczki" rzucę Wam kilka pytań — może Was one zainteresują i odpowiecie mi na nie. — Czy któraś z Was ma (naturalnie przy talencie) ochotę poświęcić się scenie? Jeżeli tak, to co Was pociąga, a co ewent. odstrasza? Czy któraś z Was nie ma sposobu na okrycie moich kosteczek jaką taką „tuszą"? Chciałabym uzyskać chociaż „okrągłość" Ghandiego, bo dotychczas jestem jak jego koza! Z powodu tegoż właśnie boję się wobec wiatru wyjść na ulicę, aby ów, wcale zresztą nie „halniak", nie zaniósł mnie przypadkiem tam, gdzie nie potrzeba. W końcu spytam się jeszcze, czy jechałyście już pociągiem „Narty - Bridge"?

A teraz ślę Wam śliczne „Pa" — i wiele ucałowań z prośbą o odpowiedź dla:

„Staszeńki".

MIŁE CZYTELNICZKI!

Mam trzynaście lat. Jestem bardzo wesoła. Uwielbiam „Świat Dziewcząt", kino, wesołe książki, muzykę i sport. Uprawiam go we wszystkich „rodzajach". Zwiedziłam „pół świata". Teraz jestem sama w Warszawie, gdyż rodzice moi wyjechali zagranicę i zobaczę się z niemi dopiero latem. Rodzeństwa nie mam. Która z czytelniczek chciałaby ze mną korespondować, proszona jest o napisanie do mnie listu pod adres:

Elżbieta Ziemińska.

Warszawa 4 poste-restante, ul. Brukowa 28.

COŚ SMACZNEGO

SAŁATA Z SELERÓW.

W okresie, kiedy w jadłospisie mało jest surowych pokarmów, smakują one zawsze najwięcej. Gdy będzie dużo rzodkiewki i liściastej sałaty nikt nie będzie chciał patrzeć na sałatkę z marchwi lub czerwonej kapusty. Teraz jednak jemy je z przyjemnością. Najwykwintniejszą w smaku sałatą z surowych jarzyn jest sałata z selerów, tych zwykłych selerów, których używa się jako włoszczyzny do zupy.

Jędrne, niezwiędnięte selery obieramy z łupin i kładziemy zaraz do wody z cytryną, aby te, które czekają na swoją kolej krajania, nie zczerniały. Do obierania i krajania używamy noża z nierdzewnej stali, gdyż od zwykłej selery czernieją. Jeżeli chodzi nam o bardzo wykwintne podanie sałatki, krajemy seler w jaknajcieńsze paseczki (nigdy nie mogą być za cienkie) możliwie najdłuższe. Uprzedzam, że to marudna robota. Po pokrajaniu każdą partję skrapiamy cytryną i oliwą. Przyprawiać można tę sałatkę dwojako: albo tylko cytryną, oliwą i szczyptą soli (jaknajmniej), albo majonezem.

Można, jeśli kto lubi, dodać krajane w cienkie paseczki kruche, kwaskowate jabłko (renetę), tak aby jabłka było 3 razy mniej, niż selerów. Do sałaty selerowej z majonezem można dodać grubo siekanych włoskich orzechów.

Na codzienny użytek można ułatwić sobie robotę i zamiast krajać selery — trzeć je na tarce od jarzyn. Smaku to nie psuje, raczej przeciwnie, wygląda jednak mniej wykwintnie.

MODY

1. Kostjum z dwuch materjałow. Żakiecik welwetowy i spódniczka z wełny w ukośną kratę. Kołnierzyk, mankiety i pasek bądź białe, bądź pod kolor jaśniejszy kraty.

2. Modny płaszczyk wiosenny i spódniczka z tego samego materjału. Model ten jest wybitnie modny i szykowny dla dorastających panienek.



3. Skromny kostjum wełniany. Najlepiej jest zrobić żakiecik w kolorze obowiązującego mundurka i z tegoż materjału.

4. Kostjum z fantazyjnym żakiecikiem.

5. Kostjum b. modny, może być przerobiony z dwuch starych wełnianych sukienek. Spódniczka niekoniecznie w kratę — może być z odmiennego, pasującego kolorem, materjału.



WRÓŻBY HERBACIANE.

Amerykanki posiadają nową manję — jest nią wróżenie z listków herbaty, wzorowane na starym zwyczaju chińskim. Wróżenie odbywa się w ten sposób, że specjalny gatunek herbaty parzy się odrazu w filiżance. Gdy na spodzie zostanie nieco tylko naparu z pływającemi listkami, należy trzy razy obrócić filiżankę w stronę świecącego księżyca. Płyn delikatnie się odlewa a listki, osiadające na dnie i na bokach filiżanki tworzą jakieś wzory, z których wróży się indywidualnie, zależnie od wypadku, dla którego się wróżby czyni. Jedna tylko wskazówka jest stała — jeśli listki są rozsypane na dnie małem kołem, znaczy to, że przepowiednia spełni się nieprędko, jeśli zaś dużem — spełnienia jej należy spodziewać się szybko.

DWUKOLOROWE WŁOSY.

W Kalifornji urodził się chłopiec, który swoim wyglądem wprawia w zdumienie swych rodziców, a także uczonych amerykańskich. Mały Rex bowiem posiada dwukolorowe włosy — jedna połowa jego głowy jest ruda, druga zaś jasno - blond. Ponieważ chłopiec ma dopiero 11 miesięcy, więc jest nadzieja, że kolor jego włosów jeszcze się zmieni.

SENSACYJNE WYNALAZKI.

Prof. F. Bergins, słynny chemik niemiecki wybudował parę lat temu małą fabrykę w Manuheim, w której przeprowadza skomplikowane doświadczenie, osiągając sensacyjne nieraz rezultaty.

Tak np. ostatnim wynalazkiem prof. Berginsa jest fabrykowanie cukru, spirytusu, oraz



produktu, nie różniącego się niczem od białka jajecznego ze zwykłego... drzewa.

Do swoich doświadczeń prof. Bergnis posiada oczywiście wiele niezwykle skomplikowanych maszyn i aparatów. Słynny chemik otrzymał przed kilku laty nagrodę im. Nobla, za równie sensacyjny, jak obecnie wynalazek — upłynnienie węgla.

ORYGINALNA OZDOBA.

W Czechosłowacji istnieje miasto Sedlitz, posiadające niezwykły kościół. Jest on mianowicie wewnątrz cały ozdobiony kośćmi ludzkiemi — wszędzie wznoszą się artystycznie ułożone piramidy z tych smutnych szczątków, ołtarze są pokryte czaszkami, ściany od stropu do posadzki są ozdobione piszczelami ludzkiemi, nawet świecznik wiszący pośrodku kościoła, jest z nich zrobiony.

Podanie mówi, że niewidomy braciszek O. O. Cystersów zabawiał się zbieraniem ludzkich kości, które później pewien rzemieślnik oczyścił i ozdobił niemi kościół.

Nie można powiedzieć, aby pomysł był bardzo fortunny!

ZABAWNY PROCES.

Pewna para amerykańska wybrała się w podróż poślubną do Europy. Młoda małżonka była romantycznie usposobiona i pragnęła jakichś osobliwych przeżyć w „starej" Europie. Mąż, chcąc jej dogodzić, wynajął stary zamek w Szkocji, upewniwszy się przedtem u właściciela, że zamek odwiedzają „duchy". To było warunkiem umowy. Dni mijały, duchów nie było. Zdenerwowany Amerykanin zwrócił się więc z wymówką do właściciela, który go zapewnił, że w niedługim czasie „duchy" napewno się zjawią.

I rzeczywiście — już następnej nocy jakaś biało odziana postać ukazała się młodej parze. Gdyby się tylko ukazała i znikła — wszystko byłoby w porządku. Tymczasem „duch" zbliżył się do młodej Amerykanki, która się b. przestraszyła. Mąż wówczas rzucił się na intruza i chwycił go za kark. „Duch" wrzasnął i zaczął uciekać, nie zdołał jednak umknąć przed rozjuszonym Amerykaninem, który zaświeciwszy światło poznał w nim przebranego ogrodnika zamku. Okazało się, że właściciel zamku, bojąc się zerwania umowy, postarał się sam o „ducha". Amerykanin nie uznał jego racji, twierdząc, że chodziło mu o „prawdziwego" ducha i zaskarżył właściciela do sądu.

Proces ten budzi obecnie w Londynie wielką wesołość.

TJANDI

z cyklu „Dziewczęta całego świata".

Szli bosemi nogami po asfaltowanej szosie, szybko mierząc kilometry. Dziewczęta w białych sukienkach, chłopcy w białych kurtkach i krótkich spodenkach. Stąpali sprężyście niby na gumach, donośnie brzmiała ich rozmowa, w której niewprawne ucho uchwyciłby mogło tylko końcówkę słów: „ang, ong". Lasem szli do Batawji, do szkoły, z dalekich nieraz wiosek, w cieniu palm kokosowych, chroniąc się przed słońcem.

Tjandi rzekła:

— Nie boję się spotkania z tygrysem, bo tygrys boi się samochodów. Ale policjanta się boję...

Gdy zbliżyli się do stolicy, auta przelatywały tak licznie, iż stróż bezpieczeństwa publicznego zapalał i gasił świetlne sygnały. Trudno uwierzyć, kto nie widział tego na własne oczy i nie słyszał sygnału!.

— Frij! — Stop!

Opóźniło to drogę i pilni uczniowie bardzo musieli przyśpieszyć kroku, żeby na czas zdążyć do szkoły. Zaczęło się od cenzury hygienicznej, nauczyciel kontrolował ręce i paznogcie. Jakże poznać czy czyste, skoro wszystkie ciemne? Tylko bronzowy człowiek dojrzeć może brud na bronzowych rękach. Widocznie poznawał, jednych bowiem wpuszczał na szkolny podwórzec, innych najpierw kierował do umywalni, gdzie szorowali ciemne dłonie z wielkim wstydem, ale i z wielką gorliwością. Na podwórcu, wszyscy bez wyjątku, myli nogi zakurzone w drodze.



Świetni gimnastycy wskakiwali na brzeg fontanny i pod bieg jej wody kładli stopy. Poczem też wszyscy, szli płukać usta. Ze ścian umywalni, w kilkunastu miejscach, po otwarciu kurka tryskała ciepła struga i szła wprost do podstawionych pod nią ust. Gul, gul, gul, spluwali do zlewu, doskonale obchodząc się bez kubeczków.

Już czas iść do klasy? Szkoła to była ludowa, koedukacyjna, jasna, czysta, wesoła, pełna kwiatów, ławki dostosowane do wzrostu dzieci, wedle najnowszego systemu zrobione.

Na pierwszą godzinę wypadła lekcja anatomji. Doktór Falum, też jak i inni nauczyciele z ludności miejscowej, na wielkiej kolorowej tablicy objaśniał budowę ludzkiego ciała, zanim powtórzyła lekcję Tjandi, której długi czarny warkocz wił się na plecach jak wąż, albo jak warkocz polskiej pensjonarki, potem jakiś buńczuczny chłopak z wielką swadą uzupełnił co zapomniała. Następnie odbył się praktyczny pokaz niesienia pierwszej pomocy rannym czy chorym. Każdy z uczniów miał przy sobie podręczną apteczkę, zaopatrzoną w najczęściej używane środki i bandaże potrzebne do opatrunków.

Po krótkiej przerwie nastąpiła lekcja geografji, na ścianie pojawiły się mapy. Bardzo różnorodne, widać z nich było, iż Holandja na Pacyfiku wymierzona jest pod każdym względem i zbadana. Może nawet wyważona?

Poczem zajęto się gramatyką malajską, równie trudną jak każda gramatyka, ale jak każda gramatyka niezbędnie konieczna do życia.

W czasie południowej przerwy, bliżej szkoły mieszkające dzieci pobiegły do domów, te zaś, które czekała dłuższa droga, na miejscu dostały pokaźną porcję ryżu i kawałek ananasa. Tjandi była w ich liczbie. Sporty zakończyły godzinę lekcji. Pan nauczyciel razem z uczniami i uczennicami grał w piłkę nożną i jak oni radośnie



świecił białemi zębami, gdy zwyciężyła jego partja.

Wracali do domu powoli. Najpierw lasem, wśród drzew kauczukowych, z których sączy się guma — wielkie źródło dochodu całej wyspy, potem wśród gór w gościnnem łonie których leżą bogate pokłady nafty, węgla, złota, fosforatów, siarki i jodu.

Odeszli już daleko od Batawji. Kratery wulkanów wyrzeźbione czarne, wylewem lawy, dymiły jeszcze. Najstraszniejszy był Gatut Katja. A wokół tych potworów, które niszczą zasiewy, ale na przyszłość użyźniają ziemię, pola pocięte na drobne działki, prawie tej wielkości co ogródki warzywne pod Paryżem, jak tamte starannie utrzymane i dobry dające dochód. Albowiem żyzny plon przynosi kawa, cukier, herbata, nawet chinina, która tu jest monopolem państwowym.

Ziemia jest tak hojna, iż wystarczy zasadzić zerwany listek, aby zapuścił korzeń, wyrósł i wydał kwiat i owoce. Szczególnie ryżowiska, obficie za włożoną pracę odpłacają.

Właśnie doszli do wielkiego, na małe pólka podzielonego „arroyos". Pracowali tu mężczyźni, w zapaskach — „sari", o nagich piersiach, w zawojach z kolorowych fularów na głowie. Kobiety zaś miały barwne spódnice i białe kaftany — „sarongi". Wszystkie te materje są własnego wyrobu, a pospolite tutaj, — Tjandi wiedziała, że na cały świat sławne są ich batiki. Noszą one na sobie ślady różnych odcieni nieba i ziemi, pomieszane razem, posiekane w deseń geometryczny lub fantastyczny, zależnie od wyobraźni osoby, która je robiła, roślinnemi farbami malując na białem tle tkaniny.

Żniwiarze, harmonijnie zbudowani, o cerze bronzowej, czarnych włosach, rysach regularnych, słodkim wyrazie twarzy i bardzo lśniących, jak porcelana białkach oczu, ruszali się z dostojnością i wdziękiem, stąpali, jakby tanecznym krokiem. Taniec od wieków jest zewnętrznym wyrazem ich uczuć, z jego to pomocą składają hołd Bogu, odprawiając wszystkie, religijne czy świeckie obrzędki. Tradycja czyniła z pracowników roli aktorów, grających wielką epopeję zbiórki ryżu. Gdy Tjandi skończy szkołę, też będzie żniwiarką!

Aksamitne motyle, szafirowe i purpurowe, wielkie a lekkie, co chwila krzyżowały się z dziećmi w drodze. Latały też w powietrzu ptaki o piórach połyskujących metalem i wielki czarny „kuli", znoszący zielone jajka.

Mijali bambusowe ukwiecone domki, a także i starożytne, z przed kilkunastu wieków, w gruzach leżące, świątynie. Szare, kamienne ich tło wzorzyście zdobione różowym deseniem cegły, w tem oślepiającem ciężkiem świetle wydawały się prawie liljowe. Ruiny oplatały kwiaty olbrzymie purpurowe, lub złote, a pnące rośliny wiły się na murach, rzeźbionych w przeróżne potwory, pięły się na wieżyczki, których dach łamał się na części, ku górze coraz bardziej, coraz bardziej mały, u szczytu zakończony spi[illegible] czapką.

W cieniu palm, w ramach kaktusów, siedział wielki, zadumany Budda, na podwiniętej nodze. Bogu temu nieraz z wiernym jego ludem składała ofiarę Tjandi — z darów lasów, pól i własnej [illegible]

Młodych wędrowców minął wielki samochód ciężarowy, na zielono pomalowany, na drzwiczkach którego widniał obraz przedstawiający miejscową dziewczynę.

— Pospieszmy się! Może zatrzyma się w naszej wiosce.

Jakoż auto zatrzymało się w Preangu. Gdy przyszli, było szeroko rozwarte i można było zajrzeć do wnętrza. Dosłownie wytapetowane książkami! Był to bowiem wóz-bibljoteka, 3 tysiące takich ruchomych księgarń rozwozi bibułę po świetnych drogach Jawy, jak po stole czy po paryskim bruku. Są tam dzieła holenderskie i inne europejskie przekłady na język malajski, również jak i krajowe utwory. Wiele miejsca zajmują pisma, wychodzące w metropolji czy tutaj,



obrazy, rysunki, portrety świętych tancerek w srebrnych koronach, którym nie wolno przekroczyć... królowej Wilhelminy. Auto nietylko sprzedaje książki, ale jest też wypożyczalnia, zewnętrzne jego ściany otwierają się i tworzą ladę, wewnętrzne zaś są półkami. Tjandi rzuciła tylko okiem,





poszła najpierw do domu przywitać się z rodzicami, zostawić tornister i zmienić szkolną sukienkę na domową: włożyła czerwoną spódniczkę, w wielkie jasne owoce i biały kaftanik, szyty miejscowym krojem.

Szybko zjadła przygotowane dla niej pożywienie: ryż, pod dwiema postaciami, wypiła trochę mleka kokosowego i zaraz pobiegła po duchową strawę. Długo namyślała się, jaką książkę wybrać, wkońcu wzięła „Tajfun" Conrada.

Po kupnie czy wypożyczeniu książek, nastąpiło wspólne głośne czytanie. Jakkolwiek auto potoczyło się dalej, jeden z urzędników księgarni został. Usiedli w krąg. Wszyscy, a tych było wśród młodzieży wielu, którym nietajne są hieroglify liter, dostali książkę i kolejno, kartkę po kartce głośno czytali.

Ponieważ była to sobota, inni jeszcze goście zawitali do zawsze cichej wioski. Najpierw na motocyklu zjawiła się komisja sanitarna z felczerem na czele. Przywiozła magiczną latarnię i pokazywała niebezpieczeństwa, płynące od ukąszenia moskitów.

Felczer długo opowiadał, jak owady te roznoszą chorobę, w prawdę słów jego nikt nie wątpił, gdyż każdy w pamięci miał niejeden wypadek podzwrotnikowej febry. To też wysłuchawszy teoretycznego wykładu, pilnie przypatrywano się praktycznej nauce używania moskitjery, jak należy założyć zasłonę, żeby chytre owady nie miały dostępu do śpiącego ciała, a zwłaszcza do twarzy.

Znów zafurczał motocykl. Zeskoczyło dwóch ludzi, przybranych w krótkie spodnie, białe kaftany i batikowe na głowach zawoje. Odśrubowali pudło, z którego wydostali płaskie, na pół metra wysokie, z drutu zrobione, barwnie malowane, zabawki, Vajang, Malajskie marjonetki!

Głowy ich, nogi i ręce, — a także fantastyczne jakieś części ciała, przeważnie warjacje na temat głów ptasich, czy nóg pajęczych, — za pomocą nitki zgrabną ręką poruszane, opowiadały miejscowe legendy. Jak Zło walczyło z Dobrem — Dobro reprezentowane przez rycerza Ardjuna, a Zło przez demona Dursasana. Co prawda, Tjandi w pierwszej chwili trudno było odgadnąć, kogo która figurka ma wyobrażać: domyśliła się w końcu, iż marjonetka mniejsza, — gdyż mniej dobra na świecie niż zła, ale też mniej strojna i mniej zbrojna, bo wyższą siłą obdarzona — to Duch Jasności.

Zabawny bardzo był orszak bajkowego króla, gdy udaje się na wojnę, naładowawszy na wóz godnych siebie pomocników, uzbrojonych jak on w jatagany, krzywe szable. Ciągle rumaków, jak kruk czarnego i dwóch, jak śnieg białych, dzierży w pajęczych rękach postać wyobrażająca wiatr. Nic dziwnego, że ledwie ziemi dotyka faeton skrzydlaty i że zwycięstwo będzie z nim, wielkim królem Kresna.

Wróciwszy do domu, Tjandi szybko zasnęła, zmęczone nadmiarem wrażeń. Szczęśliwa, iż żyje w kraju, który mógłby być rajem ziemskim. Śniła, że zazdroszczą jej tego dziewczęta całego świata. Nieraz ktoś komuś zazdrości. Bo nic nie wie o moskitach.

Aura Wyleżyńska.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

A TERAZ POROZMAWIAMY

„Złotowłosa Danuśka". — Dziękujemy za bardzo miły list i postaramy sie zaradzić na to „zamieranie samorządu". Chcielibyśmy jednak wiedzieć, na czem ono polega i jakie są tego przyczyny. Czy przypadkiem przewodnicząca nie za wiele od siebie wymaga i nie nazbyt surowo się osądziła? Przedewszystkiem bardzo ważne jest, czy wszystkie sekcje funkcjonują normalnie. Jeżeli koleżanki odsunęły się od pracy, to najlepiej zwołać zebrania poszczególnych klas i zasięgnąć opinji ogółu, czego sobie życzy. Poznawszy opinję członkiń samorządu, należy działać w myśl ich postulatów.

Prof. J. W.

Ryśka T. — Dziękujemy za miły list, Ryśko. Piszesz o mamusi z feljetonu „Biedna Krysia" (bo te zabawniejsze kawałki to się nazywają u nas i wogóle w dziennikarstwie feljetony), że jest taka miła. Jest pełno b. miłych mam na świecie, tylko wy im żyć nie dajecie, dlatego są zmęczone dreptaniem koło Was, i nieraz muszą powtarzać to samo wkółko, bo po jednym razie, to jakby się wogóle nie słyszało. A potem wychodzi na to, że mamusia gderze!

Co się Ciebie jednak tyczy, jesteśmy pewne, że Mamusia jest zachwycona twoją pracą społeczną nad — osiemnaściorgiem dzieci. Opisz prędko taką zbiórkę (to się w dziennikarstwie nazywa — reportaż) z twoimi osiemnaściorgiem. To napewno zainteresuje wszystkie czytelniczki. Szafkę do tualety trzeba skończyć koniecznie, choćby dla tego, że się ją zaczęło. To już jakby dług zaciągnięty, który wypada spłacić. Jeśli coś będzie trudno, napisz do p. Ładzianki (na nasze ręce), a ona ci poradzi. To bardzo porządna osoba.

Nawzajem serdeczne ucałowania, Ryśko!

„Miłość". — Obie twoje prośby: o wiersze i monologi, zanotowane są w specjalnej rubryce „zapotrzebowań czytelniczek". To bardzo szczęśliwie, że miłością twoją jest wiadoma osoba. Możesz przynajmniej okazać jej dużo serca i zrozumienia, nie sprawiając kłopotów i pomagając w pracy nad klasą. Narazie strach nas opanował, że w swojem przepełnionem miłością sercu nie znajdziesz miejsca dla nas, ale okazuje się, że owszem. Polecamy się więc chociaż tym „resztkom". Zresztą miłość jest podobno tworząca, więc rozszerza się na cały świat bez szkody dla najbliższych. Serdeczne pozdrowienia.

Szarotce. — Oczywiście, że twoje rozwiązanie będzie brane pod uwagę. Apel dajemy. Cała redakcja dziękuje za pozdrowienia.

Lula Wierzejska. — Ależ naturalnie, wiersze można przysłać. O ile nie nadadzą się do zamieszczenia na „Waszej stronicy" będą rozpatrzone w „Naszem seminarjum" (dział porad literackich).

M. O. E. — Rubrykę najważniejszych zdarzeń w kraju i zagranicą postaramy się wprowadzić.

O—a. — Niestety, „ukochana rzeka domowa" okazała się nieczytelna i to właściwie był jedyny błąd w liście. Nie każcie nam wogóle doszukiwać się błędów! My wolimy sympatyczną resztę listu. Wybrać sobie pseudonim? Widzisz i tak — i — nie. Redakcja — to my, to przecież właśnie „Świat Dziewcząt". Wyjaśnię ci na pytanie, kto odpisuje, że: jedna z nas prowadzi dział „A teraz porozmawiamy", a druga „Nasze seminarjum" (żeby było sprawiedliwie!). Zresztą żyjemy w ogromnej przyjaźni — i przecież *znacie nas*. Mało się do was nawypisujemy w nowelach i artykułach? Mistyfikacja przecież nie istnieje! Więc poco — koniecznie podpisywać się „Lilijką" „Rusałką", czy czemś takim. Utopienia w Wiśle (na wypadek braku „serdecznego" pseudonimu) się nie boję, bo pływam! Nie tak, żeby na wielkiej głębi, ale zawsze...

Wcale nie „zuchwale". Przecież to wszystko się tak robi poprostu i sympatycznie! Listy wolimy na 25 stron, niż 1-ną. Odpowiedzi muszą być krótkie — z konieczności. *Strasznie* nam jest ciasno w numerze i tyle chcemy wprowadzić nowych działów, ale... póki Was nie będzie dużo, dużo, w całej Polsce, zagranicą i w Ameryce (mamy tam prenumeratorki, czy wiesz?) nie możemy się rozrosnąć. A to przecie tylko od Was zależy. Nieraz przy „łamaniu" (to zn. nalepianiu pasków druku i ilustracyj, żeby pokazać drukarni, gdzie co ma być) — aż nam się płakać chce, jak trzeba coś wyrzucić — a tu się nie mieści! Prosimy więc was bardzo: pomóżcie nam, jednając nowe prenumeratorki, a będzie wtedy dużo, dużo stronic „w Świecie Dziewcząt". Serdeczności — nawzajem.

Jance z IV kl. — Przyślij list do „Bratnich dusz" (ze znaczkiem) do Janki Z., a zobaczysz, czy ci odpisze. „Świat Dziewcząt" ma dwie szyje i pozwala się ściskać za obie.

Jakżeż my się możemy nazywać „Świat Łobuzów". Po pierwsze: poważne osoby nie chciałyby nas czytać. Po drugie: to byłoby nie bardzo, jak sama piszesz, „ten tego". Ale żart na bok, pisuj częściej. Żebyś wiedziała, że fundujemy sobie nawet gruby bruljon na spis korespondentek (taki, jak na odrabianie lekcyj lub robienie notatek uniwersyteckich, lub pisanie ćwiczeń). Idzie to za nami. To też wypracowanie: napisać artykuł albo nowelę do „Świata Dziewcząt" albo odpowiedzi Redakcji!

Mocne ucałowania dla Janki (duża litera!).

REDAKCJA.

A TERAZ DO WSZYSTKICH! — Jeśli któ-ra z Was pisze jednocześnie np. Do Redakcji, Do „Bratnich dusz", na „Waszą stronicę" (utwory, które się nie nadają, omawiamy w „Naszem seminarjum), to każda z tych kwestyj musi być napisana na osobnej kartce, bo w przeciwnym razie musimy jedną stronicę drzeć na cztery części, a to bardzo niewygodne! Mogą też wtedy wyniknąć opóźnienia i zagubienia! Ostrzegamy!

Można się uśmiać!..

ŁATWO SIĘ POMYLIĆ.

Pan Antoni przychodzi do domu z małym chłopcem i mówi do żony:

— Znalazłem tego malca na ulicy... Zabłądził... Wziąłem go ze sobą. Mamy jedenaścioro dzieci, to będziemy mieli jeszcze jedno.

— Antoni — woła żona — czy ty nie poznajesz, że to jest nasz Janek?

OKULARY.

— Czemu się tak irytujesz?

— Wyobraź sobie, że zapodziały mi się gdzieś moje okulary, a nie potrafię ich szukać, dopóki ich nie odnajdę.

W SĄDZIE.

Panna Janina została wezwana do sądu, jako świadek. Sędzia, po spisaniu personaljów świadka, pyta:

— Czy pani była karana?

Zawstydzona i zarumieniona panna Janina odpowiada:

— W trzeciej klasie postawiono mnie raz do kąta.

SPRYCIARZ.

— Masz tu dwanaście cukierków — mówi wuj — daj z nich połowę Zosi. No, a teraz powiedz mi chłopcze, ile cukierków dasz Zosi?

— Trzy, wujaszku.

— Co takiego, — oburza się wuj — nie umiesz rachować?

— Ja owszem, ale Zosia nie.

DOBRY UCZEŃ.

— Wiesz co, tatusiu? Dziś w szkole tylko ja jeden umiałem odpowiedzieć na pytanie.

— Tak? A o cóż to pytano?

— Kto wybił szybę w oknie...

Do wszystkich Prenumeratorek.

Dla uniknięcia przerwy w otrzymywaniu pisma, przypominamy o konieczności przesyłania lub wpłacania prenumeraty zgóry, zarówno kwartalnej, jak miesięcznej.

ADMINISTRACJA.

Warunki prenumeraty: rocznie — zł. 10.—; półrocznie — zł. 5.—, kwartalnie — zł. 2.60; miesięcznie — zł. 1.—.

Cena ogłoszeń: strona dzieli się na 4 łamy Szerokość 1 łamu 54 mm 1 mm w łamie 60 gr Cała strona 720.— zł.

OGŁOSZENIA PRZYJMUJĄ: Biuro Ogłoszeniowe Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40, Rudolf Mosse, Marszałkowska 124; „PAT", Królewska 5; T. Pietraszek, Marszałkowska 115; Polska Agencja Publicystyczna, Marszałkowska 95; Międzynarod. Biuro Ogl., Senatorska 29; „Ruch", Wydz. Ogl., Poznańska 68; Jan Apte, Zielna 26; „Par", Bracka 17; „Merkury", Królewska 49; Kraków: „Par", Rynek 46; Cieszyn: Rudolf Pszczółka, Rynek; Katowice: „Par", Poprzeczna 8; Lwów: „Par", Akademicka 14; Łódź: Fuchs, Piotrowska 50; Poznań: Pol. Agencja Rekl. „Par", 27 grudnia 10; Wilno: Biuro Jutana, Niemiecka 14; Gdańsk: „Devera", Kohlenmarkt 10.

Redaktorki: Hanna Januszewska-Moszyńska i Wanda Borudzka. Wydawca: Tow. Wyd. „BLUSZCZ".

Redakcja i Administracja Solec 87, tel. 244-18 i 787-08. Konto P. K. O. Nr. 18.800

Redaktorki przyjmują w poniedziałki i środy od godz. 11 do 13.

Zakłady Graficzne Tow. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87. Tel. 787-03.